

KON- KRE- TY nr 7

Tygodnik PZPR ■ Legnica ■ Rok XVI
Nr 810 ■ 19 lutego 1988 r. ■ 35 zł

- W robotniczym interesie - str. 3 ■
- O feriach, po feriach - str. 3 ■ Cele tak,
a metody? - str. 4 ■ Harcerzem być...
- str. 5 ■ „Z miłości” - str. 7 ■ Kuratela
- str. 9 ■ Tajna operacja „Zula” - str. 10
- Odejść??? - str. 11 ■ Szajka - str. 13



Fot. Wincenty Kołodziejski

W Głogowie działają dwa ośrodki ożywiające pracę kulturalną w mieście: Klub Nauczyciela „Bacalarus” i — od niedawna ożywiający osiedle w sąsiedztwie hotelu „Pod Basztą” — klub spółdzielni mieszkaniowej.

Bez stereotypów str. 6



Fot. ARK

Legnicki Klub Karate działa dwa lata. Jak na klub sportowy warunki lokalowe ma skromne. Treningi odbywają się w wynajmowanej sali i wyłącznie późnym wieczorem.

W zawieszeniu str. 12

Spojrzenia Zbigniewa Jułki



- MY AWANGARDA, MUSIMY ICH DOGONIĆ.



Fot. Krzysztof Biedugnis

Skończył się karnawał. Naszemu fotoreporterowi udało się utrwalić karnawałowy bal, na którym królowali najmłodsi.

Ich pierwszy bal

str. 8-9

Dzień Informacji

17 bm. był kolejnym Dniem Informacji w wojewódzkiej organizacji partyjnej. Przed południem w siedzibie KW PZPR odbyło się spotkanie lektorów z wiceministrem rolnictwa Bolesławem Maćkowiakiem. Sekretarz KW Piotr Czaja omówił sytuację społeczno-polityczną w Legnickim i poinformował o przebiegu kampanii sprawozdawczej w partii. Po południu, w 38 punktach informacyjnych na terenie całego województwa odbyły się spotkania z miejscowym aktywnym politycznym i zawodowym.

Obradował IV Wojewódzki Zjazd ZMW

Z udziałem 83 delegatów obradował 17 bm. Wojewódzki Zjazd ZMW. Przybyli przedstawiciele władz wojewódzkich z I sekretarzem KW PZPR Henrykiem Nowakiem. Dyskutowali koncentrowali się na problemach produkcji rolnej i sytuacji społeczno-bytowej młodych rolników. Podkreślono także potrzebę wsparcia inicjatyw związku przez władze wojewódzkie i terenowe. Zabierający głos w dyskusji I sekretarz KW Henryk Nowak zapewnił, iż partia będzie wspierać pomysły młodych zmierzające do poprawy warunków życia na wsi. Wybrano także nowe władze ZW ZMW. Na ich czele stanął ponownie Waldemar Kronecki, 24-letni rolnik z Karczewisk (gmina Lubin).

(p)

Rolniczy bilans

W ubiegłym tygodniu w KW PZPR odbyła się narada aktywno-gospodarczego poświęcona ocenie wyników w rolnictwie i gospodarce żywnościowej. Zadawała efekty w produkcji roślinnej. Zbiory zbóż w 1987 roku szacuje się na 454 tys. ton, ale punkty skupu przyjęły dopiero 165 tys. ton. Nie osiągnięto natomiast planowanych wskaźników pogłowia zwierząt hodowlanych. Wprawdzie plan skupu żywca przekroczono o 2 proc., ale w sumie był on mniejszy niż w roku 1986. Mniej również skupiono w ubiegłym roku drobiu i mleka.

Naradę prowadził I sekretarz KW PZPR Henryk Nowak, o sprawach rolnictwa mówili także: sekretarz KW PZPR Jerzy Szczepaniak i wicewojewoda Kazimierz Burtyn, głos zabrał również sekretarz KW PZPR Piotr Czaja omawiając zadania organizacji i instancji partyjnych w tym sektorze.

(emka)

Styczeń pomyślny dla przemysłu

Bardzo dobrze rozpoczął się rok 1988 w legnickich zakładach, produkujących wyroby rynkowe, a zwłaszcza odzież. Łagodna zima, bez mrozu, śniegu i wyłączeń energii oraz dosyć rytmiczne dostawy surowców — sprzyjają producentom.

Ponad 260 tys. sztuk spodni i spódnic uszyła załoga „Elpo”. Ilość ta o jedną piątą przewyższa produkcję ze stycznia 1987. „Elpo” — to znany eksporter. W minionym miesiącu wysłał znaczną partię szortów damskich do USA i spodni do Szwajcarii. 600 tys. sztuk swetrów, golfów dla wszystkich kategorii wiekowych, a także śpiaczków i kaftanów dla niemowląt powstało w „Milanie”. Podobnie jest w „Hance”, z której do sklepów całego kraju oraz do Stanów Zjednoczonych i RFN powędrowało w styczniu 3 miliony 700 tys. sztuk bawełnianej bielizny.

(ra)

Przeciw brudasom

12 bm. Wojewódzki Zespół ds. Porządkowania i Stanu Sanitarnego dokonał oceny czystości i higieny w sklepach spożywczych, hurtowniach i magazynach. Widoczny jest już postęp w kulturze sanitarnej handlu, zmieniono m. in. organizację sprzedaży mięsa, drobiu i jaj. W wielu sklepach oddzielono czynności sprzedaży i pobierania pieniędzy. Jak dotąd najmniej pod tym względem zmieniło się w Legnicy. Brudasom wydano zdecydowaną walkę. W 1987 r. na zakłady obrotu żywnością, gastronomię i stołówki nałożono 1454 mandaty karne, na sumę 2 mln zł. Skierowano także 90 wniosków do kolegiów. Stwierdzono również zbyt liberalne podejście do wymogów sanitarnych wewnętrznych kontroli przedsiębiorstw. Tolerując one nawet takie sytuacje, gdzie tylko szczołka i wiadro z wodą wystarczyłoby do utrzymania czystości i porządku.

(emka)

Pytaj - ZUS odpowie

23 bm. w godz. 9—12 w Oddziale Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Złotoryi dyżur przy telefonie nr 292-30 pełnić będzie Irena Burek, kierowniczka Wydziału Zasiłków, oczekując na pytania związane ze zmianami dotyczącymi wypłat zasiłków chorobowych, rodzinnych, wychowawczych i pielęgnacyjnych.

24 bm. w godz. 12—16 w siedzibie redakcji „Konkretów” (Legnica, pl. Chopina 2) na wszystkie pytania dotyczące realizacji przez ZUS zadań osłonych w związku z podwyżkami cen oraz waloryzacji i rewaloryzacji rent i emerytur odpowiadać będzie Jerzy Wojciechowski, zastępca dyrektora ds. emerytalno-rentowych. Tel. 241-49.

Głogów

Veto radnych

Radni Miejskiej Rady Narodowej w Głogowie na swej ostatniej sesji zachowali się bez precedensu i powiedzieli stanowczo veto wobec projektu planu i budżetu miasta na 1988 rok. Władze wojewódzkie zapowiedziały wcześniej, iż Głogów otrzyma na budowę samej tylko centralnej ciepłowni 400 mi-

lionów złotych, tymczasem suma ta zmniejszyła się do 260 milionów. Podobnie jest z innymi rozpoczętymi inwestycjami, jak chociażby ze zbrojeniem terenów pod budownictwo mieszkaniowe i budową oczyszczalni komunalnej. Ambitne zadania zawarte w planie pięcioletniej zostały wobec skąpych środków budżetowych uznane przez radnych za nierealne. Postanowiono poświęcić tej sprawie jeszcze jedną sesję.

(ra)

Jednym zdaniem

10 bm. Komisja Uchwał i Wniosków WK ZSL zajmowała się opracowaniem wniosków z V Wojewódzkiego Zjazdu ZSL. 11 bm. Rada Gminna PRON w Krotoszynie oceniała stan opieki zdrowotnej, wypracowała stanowisko na temat założeń do projektu ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. 12 bm. RG PRON w Gromadce omawiała założenia do projektu ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. 12 bm. obradowała Wojewódzka Komisja Rewizyjna ZSL. 16 bm. Prezydium WK SD przyjęło materiały na XII Plenum WK, które odbędzie się 11 marca 1988 roku, a poświęcone będzie ochronie środowiska naturalnego i zdrowia mieszkańców województwa legnickiego. 16 bm. z 30-osobową grupą zasłużonych ormowców spotkało się kierownictwo polityczno-administracyjne województwa legnickiego.



Fot. Wincenty Kolodziejski

Głogów

Subtelny pejzaż

Do końca lutego w głogowskiej Galerii Fotografii BWA „U Jana” można obejrzeć wystawę Wojtka Zawadzkiego pt. „50 fotografii”. Subtelne pejzaże doskonale nadają się do wystroju naszych standardowych

i ciasnych mieszkań, co warto wziąć pod uwagę zwiedzając galerię. Tym bardziej, że w innych krajach fotografia artystyczna z powodzeniem konkuruje z malarstwem i grafiką — jest znacznie bardziej dostępną dla przeciętnej kieszeni a w tym samym stopniu, co obraz zaspokaja nasze tęsknoty do posiadania we własnym mieszkaniu dzieł sztuki. (AS)



Fot. Wincenty Kolodziejski

Przysłona zero

Już drugi rok centrum Legnicy szpeci budynek po dawnej restauracji Śródmiejskiej i cocktail-barze Malinka. Wewnątrz, zapewnia wydział handlu, trwa remont. I jeszcze potrwa, według założeń do połowy br., ale wykonawcy już mają problemy, więc lepiej nie krążyć. I pomyśleć, że gdzieś na świecie zbudowanie w ciągu roku wielokilometrowego mostu, to zwyczajna betka. Na pocieszenie możemy zdradzić słodką tajemnicę — będzie tam zakład gastronomiczny, kawiarnia, sklep i cocktail-bar. Jednym słowem raj dla lasuchów, pod szyldem „Hortexu”.

(emka)

Reporter zanotował

6 bm. prokurator rejonowy w Lubinie aresztował Janusza C. (lat 30) podejrzanego o dokonanie 2 bm. włamania do samochodu fiat 126p. 6 bm. prokurator rejonowy w Jaworze aresztował Edwarda S. (lat 40) i Leszka P. (lat 34), którzy wspólnie dokonali włamania do kiosku „Ruch” przy ul. Dworcowej w Jaworze, a następnie zostali zatrzymani w bezpośrednim pościgu przez funkcjonariuszy MO. 6 bm. o godz. 22.25 w Legnicy funkcjonariusze MO zatrzymali na gorącym uczynku włamania do sklepu „Delicje” Ryszarda Sz. (lat 17), który po wybiegu szyby wszedł do sklepu skąd zabrał 4 butelki wódki wartości 6 tys. zł. Ustalono, że w czasie kradzieży sprawcą był pod działaniem narkotyku.

10 bm. prokurator rejonowy w Legnicy aresztował Stanisława H. (lat 29), który w okresie od lipca 1985 do listopada 1987 roku wykrał środki odurzające ze słony makowej. (SA)

Sprostowanie

Do naszej stałej rubryki „Ścisłe jawne”, „Konkrety” nr 5/88, wkraśli się błąd. Zona Zenona Kwakczyca, naczelnika miasta i gminy Prochowice ma oczywiście na imię Helena, a nie jak mylnie podaliśmy Barbara. Zainteresowanych serdecznie przepraszamy.

Złotoryja

43 rocznica wyzwolenia Złotoryi

13 lutego, w 43 rocznicę wyzwolenia Złotoryi, w sali kinowej ZOK odbyła się uroczysta akademicka. O historii, dniu dzisiejszym i perspektywach rozwoju miasta i regionu mówił Tadeusz Paliszewicz, przewodniczący MGRN. Zasłużonych mieszkańców miasta udekorowano odznaczeniami państwowymi i regionalnymi. W części artystycznej wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckich z Legnicy kierowany przez Jurija Tutynina.

(hal)

Lubin

Rywalizacja lubińskich osiedli

Z inicjatywy Komisji ds. Samorządu Miejskiej Rady Narodowej ogłoszony został w 1987 roku konkurs o tytuł: „Najlepiej pracującego samorządu mieszkańców miasta Lubina”. Wyniki konkursu ogłosiło Prezydium Miejskiej Rady Narodowej 18 stycznia br. I miejsce — nagrodę 110 tys. zł, puchar przewodniczącego MRN, oraz proporzec przechoźni MRN — zdobył Samorząd Mieszkańców osiedla „Centrum”. II miejsce — nagrodę 90 tys. zł oraz puchar przewodniczącego Rady Miejskiej PRON — Samorząd Mieszkańców osiedla „Staszica”. Dwa równorzędne miejsca III — nagrody po 75 tys. zł oraz puchary prezydenta miasta Lubina — przypadły samorządom mieszkańców osiedli: „Zwycięstwa” i „Świerczewskiego”. Nagrody indywidualne dla najbardziej wyróżniających się działaczy samorządów otrzymali: Tadeusz Krnobil, Ryszard Caban, Ignacy Domin i Henryk Milian. Nagrody, puchary i dyplomy oraz proporzec przechoźni MRN wręczono podczas uroczystości z okazji 43 rocznicy wyzwolenia Lubina. (ej)

Ścisłe jawne

BOLESŁAW KOCWA, lat 48, dyplom uniwersytecki (fizyka), członek PZPR, mieszkawiec Głogowa, byłby nauczycielem, następnie naczelnikiem gm. Radwanice, przez ostatnie 5 lat — m. Polkowice, został naczelnikiem miasta i gminy Polkowice (przy 8 głosach przeciwnych na 55 głosujących radnych); odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zonaty (Stanisława — nauczycielka), dwoje dzieci: Marek (18 l.) i Małgorzata (26 l.) — mieszka we Włoszech, gdzie prowadzi szkołę tańca. Dla relaksu naczelnik uprawia ziemię, lubi naturę i grę na akordeonie (pochodzi z muzykującej rodziny). Obecnie zapoznaje się z gminą, na zebraniach najczęściej słyszy wołania o gaz, wodę, światło i telefon. Ma nadzieję, że wreszcie w tym roku urlop spędzi u córki we Włoszech.

(emka)

W robotniczym interesie

Wystąpienie GENOWEY GREN — posłanki ziemi legnickiej podczas sesji Sejmu 11 lutego br.

W dzisiejszej debacie mamy się odnieść do zaproponowanych przez Radę Państwa zmian w ustawie: Ordynacja w.b. rza do rad narodowych. A co za tym idzie — zastanowić się, jak dalece są one zgodne z oczekiwaniami i aspiracjami społecznymi, a jednocześnie: czy w jakim stopniu sprzyjać będą dalszej demokratyzacji mechanizmów powoływania terenowych organów władzy. Po części odpowiedzi na tak postawione pytania zawarta została w wynikach ogólnospołecznej dyskusji nad założeniami zmian ordynacji wyborczej, o których mówiono już dziś z tej tribuny. Stąd w swojej wypowiedzi chciałabym się skoncentrować głównie na tych sprawach, które podczas spotkań z wyborcami budziły najwięcej dyskusji.

Pierwsza z nich dotyczy podmiotów uprawnionych do zgłaszania kandydatów na radnych. Rozszerzona ona zostaje o obywatelskie konweni przy przewodniczących wojewódzkich rad narodowych, które, z uwagi na swój skład, usytuowanie i kompetencje, interesować się będą głównie radnymi do rad wojewódzkich. Wymaga rozważenia poszukiwanie dalszych podmiotów uprawnionych do zgłaszania kandydatów.

Przedłożony projekt zmian ordynacji wyborczej nie daje pełnej odpowiedzi na pytanie dotyczące wstępnych konsultacji kandydatów, nie precyzuje bowiem liczby uczestników, która powinna się wypowiedzieć w sprawie kandydatów. A są to, w opinii wyborców, sprawy o znaczeniu zasadniczym, o ile przebieg tzw. praw wyborów ma być społecznie wiarygodny.

Podczas spotkań pytano, co należy rozumieć przez „uzasadnione zastrzeżenia”, których

zgłoszenie uniemożliwia wpisanie kandydata na listę. Za mało przydatny w praktyce uznano również zapis dotyczący procedury odwołania radnego przez wyborców. Wymóg, że w zebraniach, które o tym decydują, musi uczestniczyć nie mniej niż jedna piąta ogółu wyborców w wielu okręgach, zwłaszcza miejskich, czyni go martwym. Proponowano, aby prawo to przysługiwało również radzie, która w szczególności u zasadzonych przypadkach mogła taką decyzję podjąć samodzielnie w trybie nadzwyczajnym, bez odwoływania się do wyborców.

Podane uwagi świadczą przede wszystkim o zainteresowaniu i trosce jaką przywiązuje społeczeństwo do zbliżających się wyborów do rad narodowych; jak wiele nadziei wiąże z nową ordynacją wyborczą.

W tym miejscu chciałabym podzielić się refleksją ogólniejszą, która tak jak mnie, może nasunąć się również innym robotnikom.

W art. 4 pkt. 2 Konstytucji PRL czytamy, iż Polska Rzeczpospolita Ludowa „...rozszerza udział robotników w rozwiązywaniu spraw państwa, społeczeństwa i gospodarki...”

Musimy być świadomi, że nowa ordynacja wyborcza, słusznie zakładająca wyraźny krok na drodze demokratyzacji, między innymi poprzez większą ilość kandydatów na jedno miejsce mandatowe w ujęciu niepreferencyjnym może ujawnić trudności kandydatów ze środowiska robotniczego.

Szczególnie wysoko cenione w tym środowisku: prostota, o-twartość formułowania ocen, niejednokrotnie ostrość ich prezentowania, naturalna niechęć do przypodobania się — mogą niekorzystnie oddziaływać na popularność kandydatów wśród wyborców.

Byłoby bardzo źle, gdyby w wyniku demokratyzacji życia

politycznego klasa robotnicza traciła wpływy i udział w organach władzy ludowej. Zachodzi pytanie — czy w związku z tym ordynacja wyborcza nie powinna, przynajmniej kierunkowo, przewidzieć możliwości zgłaszania robotników. Czy nie przewidzieć uprawnienia załóg zakładów pracy do wysuwania własnych kandydatów na radnych?

Poddając Wysokiemu Sejmowi tę refleksję pod uwagę, myślę, że skoro prawo do wysuwania kandydatów na radnych uzyskały samorządy terytorialne to logiczna, w świetle art. 4 Konstytucji PRL, może i myśl, że prawo takie przysługiwać powinno także samorządom załóg w zakładzie pracy.

Stojąc zatem przed nami niezwykle ważne zadanie, musimy podjąć decyzje, które mieć będą ogromne znaczenie nie tylko dziś ale i w przyszłości. Nowa ordynacja wyborcza musi określić prawo i mechanizm wyborczy w taki sposób, który stworzy obywatelom możliwość autentycznego wyboru, współuczestnictwa w procesie wyłaniania kandydatów.

Przedłożony przez Radę Państwa projekt ordynacji wyborczej wychodzi temu naprzeciw, tworząc warunki do realizacji takiego właśnie systemu wyborczego, co nie oznacza, że: niektóre z zaproponowanych tu rozwiązań — o czym wspomniałam już poprzednio — nie wymagają dalszego uściślenia i rozwinięcia.

Kończąc, wyrażam głębokie przekonanie, że obecny projekt w oparciu o zgłoszone uwagi i dyskusję uzyska doskonałą postać w toku prac Komisji Nadzwyczajnej, a jego ostateczny kształt zgodny będzie z oczekiwaniami społecznymi i potrzebami socjalistycznego państwa.

Co roku przeglądam programy zimowych wakacji. Fajerwerki pomysłów, lawina imprez: tu konkursy i zabawy sportowo-rekreacyjne, tam wideo ciurkiem, dzień w dzień, a pod koniec wypoczynkowej akcji obowiązkowo wycieczka. Najchętniej do Karpacza, albo Szklarskiej Poręby. Niby zawsze coś nowego, ale właściwie nie nowego. Powielany od lat, zużyty do cna schemat. Wystarczy kilka żelaznych pozycji — płasy, deklamacje, rzuty do celu, kulig i saneczkowe wariacje, gdy będzie śnieg — i plan gotowy.

Co roku programy kwitną, a ferie jawią się w nich radośnie i kolorowo. Cóż z tego skoro ja (i nie na to nie poradzę) nie widzę wokół tej radości.

Do Martyny na tydzień przyjechały kuzynki ze wsi, a potem ona pojechała na dwa dni tylko do babci. Codziennie siadła przed telewizorem i przetykała niestrawną telewizyjną papkę. Potem poba-

O feriach, po feriach

wiła się trochę z młodszą siostrą, do której nie ma cierpliwości, albo dreptała bez celu wokół kontenera puchnącego od śmieci. W rodzinie Martyny pracuje tylko ojciec, więc o zimowisku nawet nie było mowy. W podwyżkowej gorączce matka Martyny dzieli każdą złotówkę z dwudziestu paru tysięcy rodzinnych dochodów i boi się, że drożyzniany dodatek nie pokryje nawet mieszkaniowego czynszu.

Agnieszka budziła się około dziewiątej, czasem nawet później. Ilez to w piątą klasie zaległości do odsypiania. Najpierw śniadanie przed telewizorem, a potem wędrówka od koleżanki do koleżanki, bo wszystkie zostały w mieście. Agnieszka nawet nie pomyślała o zimowisku, bo latem też wypoczywała głównie na podwórku. Rozumie już (bo jest dorosła), że jedenaście tysięcy matczynej pensji i dwa tysiące alimentów przyznanych przez sąd, to nie.

U Kowalskich (oboje są inżynierami) odbyło się losowanie, które miało rozstrzygnąć, kto pojedzie w góry: Maciek czy Iwona? Wygrała Iwona. Maciek nie zgadza się z taką sprawiedliwością i nie chce rozumieć, że rodziców nie stać w tym roku na wspólną wyprawę.

Dzieci Zalewskich też musiały zostać w domu, ale rodzice postanowili zorganizować im aktywny wypoczynek. W kilkunastotysięcznym osiedlu znaleźli jeden spółdzielczy klubik, więc nie było żadnego wyboru. Imprezy, owszem, ciekawe, ale od rana do piątnastej bez ciepłego posiłku. Tylko na suchym prowiancie.

Lidka przeważnie przesiadywała z matką w kiosku.

Tomek biegał niezmordowanie na plebanię, bo tam są paletki i tenisowy stół.

Marek przysłał pocztową kartkę: Dostałem z poprawczaka przepustkę. W czasie ferii jestem z mamą...

I tyle było radości.

Dlatego nie lubię programów — gęstych rubryk zapisanych maczkiem, w których tyle celów, zadań, form i środków, bo przecież organizatorzy zawsze pamiętają, że dzieci trzeba wychowywać, kształcić, poszerzać horyzonty...

A' propos

moda polska



-PRZESTAŃ Z TYMI DZIAŁANAMI OSŁO NOWYMI...

ZUS — informuje

Oddział ZUS w Złotoryi informuje, że obwieszczeniem ministra pracy i polityki społecznej, najniższe wynagrodzenie pracowników uspołecznionych zakładów pracy za pełny miesięczny wymiar czasu pracy zostało ustalone od 1 stycznia 1988 r. w kwocie 9.000 zł. Powoduje to w konsekwencji zmiany wysokości podstawy wymiaru oraz najniższej podstawy wymiaru składek za ubezpieczenie społeczne niektórych grup ubezpieczonych. W związku z tym począwszy od stycznia 1988 podstawą wymiaru składek na ubezpieczenie społeczne nie może być niższa od 9.000 zł dla:

— osób wykonujących pracę na rzecz jednostek gospodark

uspołecznionej na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia, których czas pracy określony w umowie odpowiada co najmniej pełnemu wymiarowi czasu pracy,

— osób współpracujących z osobami wykonującymi pracę na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia,

— pracowników zatrudnionych w pełnym wymiarze czasu pracy w placówkach i zakładach prowadzonych na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia.

Natomiast podstawą wymiaru składek na ubezpieczenie społeczne pracowników zatrudnionych na podstawie umowy o pracę lub spółdzielczej umowy

o pracę w prowadzonych na zasadach zryczałtowanego rozrachunku spółdzielczych zakładach usługowych powinna być ustalana jako wielokrotność kwoty 9.000 zł, w zależności od kategorii osobistego zaszczerowania pracownika.

Równocześnie oddział wyjaśnia, że uspołecznione zakłady pracy mogą dokonywać od 1 stycznia 1988 roku podwyższania podstawy wymiaru składek na ubezpieczenie społeczne do kwoty nie przekraczającej 45.000 zł miesięcznie:

— na wniosek osoby wykonującej pracę na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia objętych ubezpieczeniem społecznym, które zawarły umowę na zasadach zryczałtowanej odpłatności,

— osób współpracujących z osobami wykonującymi pracę na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia.

Cele - tak, a metody?

Janusz Dobrzański

Spójrzmy na fakty. W roku 1987 wybudowano 3.857 mieszkań, co stawia Legnickie na dziewiątym miejscu w kraju i jest najlepszym wynikiem w ostatnim siedmioletnim. Z tej liczby spółdzielczość otrzymała 2.952 mieszkania, co też jest rekordem. 924 mieszkania wybudowane w Legnicy, to znacznie więcej niż wybudowano we wszystkich województwach, takich jak białostockie, chełmskie czy nowosądeckie. 272 mieszkania w Chojnowie, 222 w Złotorzy to liczby, jakich nigdy wcześniej w tych miastach nie osiągnięto.

Budownictwo, przemysł materiałów budowlanych, przedsiębiorstwa i instytucje uczestniczące w różnych fazach procesu inwestycyjnego — mogą więc mówić o roku wyjątkowo udanym. Ale w roku 1988 zbuduje się mniej mieszkań niż przed rokiem. Dlaczego? Czyżby zmalał popyt na mieszkania?

Po pierwsze — konstruktorzy i promotorzy programu budownictwa oskarżają budowlanych o partykularizm, egoizm i brak zrozumienia potrzeb społecznych. Po drugie — budowlani twierdzą, że oskarżenie ich o postawę apasyczną jest nie na miejscu, bowiem w działalności gospodarczej musi obowiązywać realizm. Skoro może wytworzyć nie wzrosną, nie przybędzie ani materiałów, ani nowoczesnego sprzętu, to firmy budowlane nie mogą konstruować planów o których z góry wiadomo, że są nierealne.

Wojewódzka Rada Narodowa rozstrzygnęła ten spór, uchwalając zaniżoną — zdaniem jednej strony, a realną w opinii drugiej — wersję planu. Nie sądzę, aby rozstrzygnięcie sporu oznaczało jego zakończenie. Pewne jest, że negocjacje będą trwały nadal, tyle że na innej płaszczyźnie i na innych szczeblach. Ich wynik — wbrew pozorom — ma jednak znaczenie drugorzędne. Bo w istocie nie jest to spór o cele — te wszyscy akceptują. To spór o metody.

Konstruktorzy i promotorzy planu budownictwa chcą, aby było coraz więcej mieszkań. Budowlani natomiast robią wszystko, żeby się temu nie podporządkować i starają się budować mniej niż się od nich żąda. I — co gorsza — wygrywają! Poczuć elementarną sprawiedliwość dyktuje wyrok. Ale jeśli powiesimy budowlanych — czy przybędzie mieszkań? Mówiąc inaczej — należy postawić pytanie, dlaczego budowlani nie chcą budować więcej niż obecnie? Co o tym decyduje?

Popyt na usługi budowlane ogromnie przerasta podaż. Firmy zajmujące się budownictwem są monopolistami i dyktują warunki takie, jakie im najbardziej odpowiadają. Trudno jednak mieć pretensje do monopolu, że korzystają ze swej „uprzywilejowanej” pozycji. Są to mechanizmy funkcjonujące obiektywnie. Jedynym skutecznym lekarstwem na niedomagania budownictwa jest stworzenie normalnego rynku wykonawcy. Jest to jednak bardzo złożone i trudne.

W budownictwie łatwiej niż gdzie indziej przedsięwziąć reformatorskie kroki. A to przecież wcale nie tak łatwo, bo gdyby wszystkie dobre chęci obróciły się w rzeczywistość, to w Legnickim mielibyśmy budowlany Singapur, albo Hongkong, czyli enklawę, cudu gospodarczego. Ale cudu nie ma i zapewne nie będzie.

W 1987 roku wydajność pracy w Legnickim wzrosła o 3,8 proc., natomiast w spółdzielczych przedsiębiorstwach budowlano-montażowych o 4,3 proc. Śred-

nia płaca w województwie wyniosła 40,7 tys. złotych, średnia płaca w budownictwie 31,7 tys. złotych.

Przyczyn tych różnic jest wiele. Powstałaby obszerna rozprawa, gdybyśmy zaczęli rozważać przyczyny, dla których firmom budowlanym nie opłaca się maksymalizowanie zysków poprzez zwiększanie wydajności pracy lub inaczej pogłębianie portfela zamówień. Znalazłoby się sporo elementów subiektywnych, których firmy nie starają się usuwać, ponieważ nie wierzą, że dostatecznie mocno, aby się to opłacało. Są to zresztą sprawy znane: chroniczny brak materiałów budowlanych i maszyn z jednej strony, materiałowe technologie i rozrzucona gospodarka posiadanych sprzętem — z drugiej; niewielki, ale systematyczny spadek zatrudnienia i narzekanie na brak ludzi do pracy, i jednocześnie kulejąca organizacja pracy i przerosty kadrowe w administracji... Wylizankę można by ciągnąć bez końca, bo lista wad organizmu zwanego systemem budownictwa jest, niestety, długa. Jakimi metodami te wady eliminować? Z pewnością nie mogą to być metody administracyjne. Tego rodzaju narzędzia mogą przynieść wprawdzie sukces lub nawet serię sukcesów taktycznych, ale strategicznie się nie sprawdzają. W grę wchodzi jedynie rozwiązanie ekonomiczne.

Nadzieją na przyszłość jest nowe prawo lokalowe i system kredytowania budownictwa, co będzie — miejmy nadzieję — mocnym fundamentem pod generalne przeobrażenie całego systemu budownictwa — od decyzji inwestycyjnej aż po wiechę na dachu. Obecnie zbyt wielu uczestnikom procesu inwestycyjnego jest wszystko jedno z czego budują, jak długo i za ile, tzn. ile to będzie kosztować inwestora. Trudno jednak potęgować projektanta za to, że wymyślił blok, który trzeba monitorować przy użyciu dziesięciu dźwigów, a nie jednego — skoro dobry i zły projekt kosztuje tyle samo, a ten zły np. łatwiej wykonać. Trudno cisnąć gromy na firmę budowlaną za to, że nie chce budować dziesięciu bloków tylko jeden, skoro budowa tego jednego przyniesie taki sam zysk tylko przy znacznie mniejszym wysiłku. Trudno wieszać psy

na budowlanych za to, że nie zastępują materiałowej wielkiej płyty nowoczesniejszymi i tańszymi technologiami wieńcząc, że prócz kłopotów, nie na tym nie zyskają. To tylko niektóre z zasadniczych elementów systemu budownictwa, działających wadliwie. Aby uzdrowić cały system, trzeba czasu, żelaznej konsekwencji i zmian w całym kraju. I naczaj trudno marzyć o wyraźnym i ugruntowanym sukcesie pod postacią dobrego i taniego budynku. Jak ktoś słusznie powiedział „budownictwo jest soczewką, w której skupia się stan całej gospodarki”.

Uchwała Wojewódzkiej Rady Narodowej mówi, że należy tworzyć warunki rozwoju firm, które zajęłyby się produkcją materiałów budowlanych z lokalnych surowców, że trzeba popierać rozwój nowoczesnych, oszczędnych technologii w budownictwie, tworzyć podstawy rozwoju konkurencji na rynku budowlanym (poprzez tworzenie i sprzyjanie powstawaniu małych i średnich przedsiębiorstw budowlanych). Jest to program, który w perspektywie powinien przynieść znaczące efekty, jednak pod warunkiem, że administracja, która ma obowiązek zająć się jego praktycznym wykonaniem, zastosuje rozwiązania ekonomiczne (np. elastyczną stopę podatkową) o długofalowym działaniu. I nie będzie decydowała za biurka, co jest „ideologicznie” bardziej „czyste”, a więc ma pierwszeństwo — firma państwowa, spółdzielcza, prywatna — polska czy prywatna — zagraniczna. Rozstrzygnięciem tego dylematu przez lata doprowadziliśmy do tego, co mamy. Jak wiele jest do zrobienia w Legnicy, a raczej jak wielkie są możliwości, świadczy fakt, że do tej pory powstały u nas zaledwie trzy firmy polonijne. Nie oznacza to braku chętnych do ich uruchomienia. Legnickie jest regionem bardzo atrakcyjnym dla przedsiębiorczości gospodarczej. Ale ta przedsiębiorczość nie była do tej pory zbyt mile widziana... Miejmy nadzieję, że uchwała WRN zmieni tę postawę.

Zasadniczej reorientacji wymaga także podejście do budownictwa. Do tej pory możliwość rozwiązania „problemu mieszkaniowego” dostrzegano wyłącznie w podnoszeniu liczby nowych mieszkań. Cały potencjał wykonawczy nastawiony jest na budowanie. Jest to błąd popełniany od lat, zresztą nie tylko przez nas. Podobna polityka obowiązuje w krajach sąsiednich. A przecież w wielu państwach, znacznie od nas bogatszych, nowe mieszkania to tylko część budownictwa mieszkaniowego. Część, albowiem resztę stanowią remonty i modernizacja starych domów mieszkalnych. W niektórych krajach wydatki na ten cel sięgają 30-40 proc. wszystkich środków na budownictwo mieszkaniowe. U nas remonty i modernizacje stanowią zupełny margines. Nie trzeba zgłądać do statystyk. Secesyjna część Legnicy rozspuje się w oczach, ale trudno natrafić na remontowany lub modernizowany budynek. A Legnica to tylko przykład dla zilustrowania wagi problemu.

Daleko łatwiej określać i wytyczać cele w polityce mieszkaniowej — niżeli środki i metody ich materializacji. Spory w tej materii są pożądanymi i tworzące, byle tylko zwyciężał racjonalizm.

„Sylwester w Zodiaku”

Odpowiadając na uwagi zawarte w liście pt. „Sylwester w Zodiaku”, opublikowanym w nr 2/88 „Konkretów”, a dotyczącym wieczoru sylwestrowego w restauracji „Zodiak”, podległej „Spolem” PSS w Legnicy, informuję, że w sprawie przeprowadzono postępowanie wyjaśniające.

Skontrolowane dokumenty takie, jak: jadłospis, karta win i wódek i zestawienie sprzedawanych biletów, nie potwierdzają zarzutów przedstawionych w liście pana Wierzbickiego. Ceny biletów skalkulowano, mimo wzrostu cen, na poziomie roku ubiegłego w wysokości 6 tys. zł. W ramach tej kwoty 2,5 tys. stanowiły wydatki na: organizację balu, występ artystyczny, nagrody, upominki, dekoracje itp. Pozostałe 3,5 tys. zł przeznaczono na pokrycie kosztów konsumpcji. W ramach tej kwoty podano: karpia po żydowsku, szynkę, kiełbasę salami, polędwicę, roladę z kaczki w galarecie, sos tatarski, chrzan, masło, pieczywo. Były też dania ciepłe, wbrew temu co twierdzi Józef Wierzbicki. Serwowano nie tylko barszczyk, ale i pasztecik oraz filet ze schabu w sosie myśliwskim, z ziemniakami i zestem surowek. Podano też herbatę, kawę, pomarańcze, plonące lody, napoje chłodzące i szampana. Na każdym stole znajdował się jadłospis i konsumenci mieli możliwość zapoznania się ze szczegółową specyfikacją menu. Również oferta bufetu była znacznie bogatsza niż twierdzi pan Wierzbicki. Oprócz wódki „Bałtyckiej” w sprzedaży znajdowały się: wódka „Mazowiecka”, kilka wódek gatunkowych, trzy gatunki koniaków, cztery gatunki whisky oraz sześć gatunków wina z „Martini” włącznie. Można też było kupić piwo puszkowe.

Jeżeli chodzi o zarzut dotyczący tłoku na balu to stwierdzamy, iż restauracja „Zodiak” posiada 280 miejsc konsumencyjnych i aby uniknąć tłoku, kierownictwo lokalu ograniczyło ilość sprzedanych biletów do 270. Większe ograniczenie ilości uczestników balu sylwestrowego spowodowałoby wzrost ceny karty wstępu, a także miałyby niewłaściwy rezonans zarówno wśród legniczan, jak i gości z różnych stron kraju.

Trudno się też zgodzić z zarzutem, że „upchnięto” pana Wierzbickiego przy stoliku 8-osobowym. Pan Wierzbicki, tak jak inni konsumenci miał możliwość wyboru miejsca. Wybór padł właśnie na stół nr 67 (jeden z dwóch stolików usytuowanych najbliżej drzwi od toalety, co wynikało z przedstawionego zainteresowanemu planu sali). Nie było to zatem miejsce „tuż pod drzwiami ubikacji”, jak pisze autor listu. Szkoda, że autor listu nie składał żadnych reklamacji w „Zodiaku” ani w czasie balu, ani po jego zakończeniu.

ZBIGNIEW CZECHOWSKI
kierownik restauracji „Zodiak”
PSS „Spolem” w Legnicy

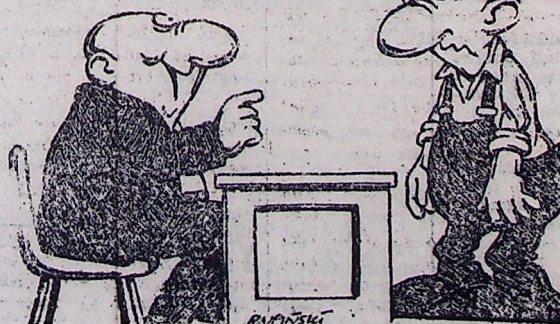
„Szok”

W związku z listem pt. „Szok” Józefa Popowicza, opublikowanym w nr 3/88 r. „Konkretów”, wyjaśniamy, że opisana tam zamiana zwłok nastąpiła w wyniku tego, że zgodnie z życzeniem rodziny czynność ubierania zwłok wykonana została przez kogoś na prywatne zlecenie rodziny i pod jej nieobecność. Zalatwiając formalności pogrzebowe członkowie rodziny oświadczyli, że nie będą korzystali z tego rodzaju usługi świadczonych przez naszą firmę. W związku z zaistniałym faktem pragnę wyrazić ubolewanie.

STANISŁAW PASZKIEWICZ
Dyrektor Przedsiębiorstwa
Gospodarki Komunalnej
w Legnicy

Od redakcji: Oczywiście, zamiast do firmy, niech rodzina kieruje pretensje do siebie. Nie dała zarobić, to ma za swoje. Bo tak naprawdę, to wyjaśnienie dyrektora niczego nie wyjaśnia, a już na pewno nie balaganu nannajęcego w Zakładzie Usług Komunalnych.

„WIECIE CO? A MOŻE BYĆ TAK
PRACOWALI PO NOWEMU
A ZARABIALI PO STAREMU?...”



Harcerzem być...

Agnieszka Szydłowska

„A ja mam swą gitarę, spodnie wytarte i buty stare, wiatry niosą mnie...”

Piosenka harcerska. Pobrzmiwają w niej echo odwiecznej tęsknoty za przygodą. Echo leśnych podchodów, żaru ogniska, gwiazdzistych i slotnych nocy pod gołym niebem. Przygoda ciągnie w szeregi harcerstwa wielu, ale prawdziwymi harcerzami zostają nieliczni.

1. ZIMOWISKO szkoleniowe harcerzy i instruktorów Chorągwi Toruńskiej to skupisko niespokojnych i niepokornych. Zamieszkał w internacie Zespół Szkół Samochodowych i od pierwszego dnia napelnili bazę gwarem i śpiewem. Błyskawicznie ukonstytuował się zespół redakcyjny „Tuby”, obozowej gazetki pełnej życia i humoru. Legnicę zdobyli szturmem. Wtargnęli nawet do naszej redakcji i zmusili redaktora Pańczuka do dwugodzinnych zeznań na temat tajników zawodu dziennikarskiego. Nie obyło się bez przygód (z pozornym porwaniem fiata 125p, przypadkowym czynem społecznym w postaci rozładowania dwu ton węgla i poderwaniem przystojnego legniczanina właśnie) przy wypełnianiu zadania pt. „Niewidzialny powrót do bazy”. Nie chcieli rozstać się z harcerzami zuchy ze Złotoryi uczestniczące w akcji zimowej. Na długo zapamięta spotkanie także nizej podpisana, kiedy odważyła się skorzystać z zaproszenia torunian.

2. ATAKI posypały się „równo” na całą prasę i sposób dziennikarskiego widzenia harcerstwa, że piszemy przypadkowo, od akcji do akcji, że przemilczamy to, co w ruchu harcerskim najcenniejsze i najbardziej wartościowe. Trochę — ale tylko trochę — usprawiedliwili dziennikarzy sami harcerze: masowość ruchu będąca wynikiem nieprzemyślanych nacisków odejrzanych osłabła harcerstwo i wyrzuciła wiele zła. Społeczeństwo młodych i dorosłych Polaków wie o harcerstwie bardzo niewiele.

— Najbardziej nie podoba nam się to, że ocenia się całe harcerstwo przez pryzmat 10 punktu Prawa Harcerskiego — mówi Halina.

Wieczorami toczy się dyskusja nad prawem. Zmienić czy pozostawić? A

jeżeli zmienić, to co? Najwięcej kontrowersji budzi właśnie ów punkt 10: „Harcerz jest silny i zdrowy, nie pije napojów alkoholowych, nie pali i stara się walczyć z nalogami”. A jeżeli harcerzowi stuknęła trzydziestka? Czy prawo zobowiązuje go do katarygicznego przestrzegania wszystkich punktów? I co zrobić z prawem, które nie jest łamane nagminnie, ale często? Zrezygnować z ambitnych i nierealnych wymogów?

— Uważam, że w tej chwili nie można zmieniać prawa — mówi Ola. — Ucierpiłaby przez to bardzo prestiż związku.

Do opinii Oli przychyliła się większość. Społeczeństwo walczy z nalogami, zmiana prawa byłaby czymś w rodzaju dezercji.

— Prawo Harcerskie jest świetlanym ideałem, do którego dążymy — twierdzi Darek. — To długa droga kształtowania silnej woli i charakteru.

Nie od razu się udaje. I nie wszystkim. Ale nie upoważnia to nikogo do rezygnacji i poddawania się bez walki. Darek podaje następny przykład: ochronę przyrody. Prawdziwy harcerz nie zniszczy beżmyślnie drzewa. Od przy-

rody bierze tylko to, co jest mu niezbędne, a straty stara się wyrównać. Harcerze od lat uczestniczą w akcjach sadzenia lasu. Tylko Remik przyznaje uczciwie, że — jak dotąd — nie posadził jeszcze żadnego drzewa...

3. JEST wiele dobrych drużyn, z tradycjami. Drużyny te mają własne plany pracy, które wykonują nie oszukując siebie i innych. Jedną z form pracy drużyn jest przygotowywanie się do zdobycia sprawności. Dla laików mają one charakter ludyczny i rzeczywiście, są przede wszystkim dobrą zabawą. Zuchy, zdobywając sprawności, uczą się bawić i poznawać świat. Młodszy i starsi harcerze poprzez sprawność zdobywają umiejętności radzenia sobie w sytuacjach trudnych i nieprzewidywanych. Marzeniem każdego harcerza i ułoronowaniem wszystkich sprawności są „Trzy Pióra”. Na zimowisku nazywają je „Trzema Piórami” mają tylko „Pyton” i Rafał. Obaj przeszlą całonocowe próby samotności, milczenia i głodu. To już nie zabawa. Trzeba wykazać się odwagą, cierpliwością, uporem i uczciwością. Hartuje się ciało i siłę woli.

4. SŁABOŚCIĄ Związku Harcerstwa Polskiego jest brak dobrych instruktorów. Nie spełniają tej roli przypadkowi, wyznaczeni do opieki nad szkolnymi drużynami nauczyciele. Na harcerstwo trzeba „zachorować”. Takich słów użyli właśnie nauczyciele — instruktorzy, którzy przyjechali na zimowisko szkoleniowe. Przyjechali bez większego przekonania. Od starszych harcerzy uczą się metodyki pracy, poznają tradycje i obyczaje harcerskie. Raz polknięty bakcył harcerstwa zostaje na całe życie. To, co robili dotąd dla dzieci i... dyrekcji szkoły, stało się zrozumiałe, bliskie i własne.



Raz polknięty bakcył harcerstwa zostaje na całe życie.

Fot. Stanisław Celoch

Nielegalne dochody

Cóż to jest tzw. drugi obieg gospodarczy? Pojęcie to robi karierę dopiero od niedawna, choć nielegalne formy zarabkowania są przecież niemal tak stare jak świat. Dochody, uzyskiwane w ramach owego drugiego obiegu gospodarczego, to po prostu dochody nieoficjalne, uzyskiwane niezgodnie z prawem. Pochodzące, inaczej mówiąc, z wszelkiego rodzaju przestępstw, albo z tzw. ukrytej działalności gospodarczej, która nie jest rejestrowana np. w celu uniknięcia podatków.

Jaka jest skala nielegalnych dochodów w Polsce? Dokładnie nikt na to pytanie nie odpowie. Ci, którzy je uzyskują nie są przecież zainteresowani ujawnianiem ich wysokości. Pozostają zatem tylko szacunki specjalistów. Marek Bednarski, Ryszard Kokoszynski i Jerzy Stopyra, autorzy pracy „Drugi obieg w Polsce w latach 1977–88”, szacują, że nieformalne dochody w ostatnim okresie wynoszą od 10 proc. do 25 proc. dochodów osobistych ludności.

Różne, uzupełniające się metody szacowania dają odmienne rezultaty, ale nie zmienia to faktu, iż skala nielegalnego zdobywania pieniędzy jest już stosunkowo duża. Autorzy przyjęli rok 1977 za wyjściowy, bo od tego właśnie roku udział dochodów nieformalnych w ogólnych dochodach ludności zaczął szybko wzrastać. W 1977 roku — podajmy dla porównania — tylko co dwudziesta złotówka pochodziła ze źródeł nieformalnych. Dziś, jak widać, jest ich znacznie więcej...

Dlaczego ten drugi obieg się rozszerza? Na pewno jedną z przyczyn jest kryzys gospodarczy. Ludzie chcą więcej zarobić, a szybko i dużo można zyskać właśnie na nielegalnych, wysoko opłacanych usługach lub na przestępczości gospodarczej. Brak równowagi na rynku powoduje, że kradziony towar można sprzedać łatwo i za większe pieniądze niż wynosi oficjalna cena.

Kryzys z pewnością wzmacnia rozwój drugiego obiegu, ale nie jest jedyną jego przyczyną. W każdych warunkach, nawet najlepszych, ludzie chcą zarabiać jak najwięcej. I decydują się na działalność niezgodną z prawem, gdy z kalkulacji wychodzi im, że ryzyko „wpadki” jest niewielkie. Tak właśnie jest w naszej sytuacji. Do tego słabość kontroli gospodarczej zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej zachęca wręcz do kradzieży wyrobów i narzędzi lub do nielegalnej produkcji na maszynach i z materiałów, należących do uspołecznionego przedsiębiorstwa.

Zjawisko to potęguje społeczna tolerancja przestępczości gospodarczej. Wszelkie nadużycia usprawiedliwiają niskim poziomem płac. Z wielu badań wynika, że liczni pracownicy są nawet skłonni potępić przestępczość gospodarczą, ale już tylko niewielu gotowych jest ją — w takiej lub innej formie — zwalczać. Socjolog nazwałby to zjawisko erozją moralności zawodowej. Można oczywiście powiedzieć, że i ta erozja jest wynikiem kryzysu gospodarczego...

Można, wszystko można usprawiedliwić. Tylko — jak długo? Wszelkie formy drugiego obiegu gospodarczego mają, przecież, to do siebie, że wzbogacają, i to poważnie, tylko część społeczeństwa. Zyski z kradzieży lub wysokie opłaty za usługi świadczone w czasie opłacanym przez przedsiębiorstwo wzbogacają jednych, lecz zubożają innych. Chyba nie o taki rodzaj „przedsiębiorczości” mamy chodzić...

podglądy

Z każdego można zrobić wariata

Jaka jest dzisiejsza młodzież? Chyba jednak mądrzejsza niż starsze pokolenia, gdy byli w jej wieku. Niewielu się chce do tego przyznać, ale to raczej pewnik. Zresztą młodzież jest różna. Jeszcze dwa lata temu nazywano mnie działaczem młodzieżowym, choć mam już piętnastoletnią córkę, którą na pewno można już zaliczyć do młodzieży. Czasami, szczególnie dla potrzeb naszej polityki społecznej, przydatoby się ustalenie ścisłych, granic wiekowych młodzieży. Wiadomo byłoby wówczas co młodzież ma, a czego nie ma? Co chce, a co mieć może? Jakże są rzeczywistości jej poglądy?

A właściwie to co, my dorośli, o tej młodzieży wiemy? Chyba nie za dużo?

Są nawet, co prawda, badania prowadzone przez Instytut Badań Problemów Młodzieży, ale niewiele się z nich można dowiedzieć. Ankieterzy, a wiem o tym dobrze, bo sam ongiś się tym bawiłem, mogą z respondentem zrobić co zechcą. Z każdego można zrobić wariata i każdemu można wyprostować poglądy.

Ostatnio dowiedziałem się, że w naszym bohaterstwie województwie też zabrano się za różne badania opinii młodzieży. W jakiejś tam szkole dyrektor pytał dzieci — kogo najbardziej lubicie? No, dzieciaki oczywiście chórem odpowiadały — Pa-na-dy-rek-to-raaa...

W innej szkole spytano dzieci, kim chciałoby zostać po ukończeniu nauki. Najwięcej chętnych było na stanowiska dozorców, dyrektorów, milicjantów, sprzedawców w „Peweksi” i kucharzy. Nikt nie chciał zostać inżynierem, lekarzem, nauczycielem. Kilku natomiast chciało zostać od razu emerytami. Pięknie — co?

Mój syn zwierzył mi się, że chciałby zostać Amerykaninem, a syn moich znajomych chciałby być ni mniej ni więcej

tylko królem angielskim. I co? I dobrze. Dzieci wiedzą, czego chcą, a dokładniej wiedzą to, czego ich nauczono. I tu jest cały pies pogrzebany. Bo tak właśnie uczymy nasze dzieci, że lepiej być dozorcą, który nic nie robi a bierze za to niezłe pieniądze, czy też kucharzem, który z nadwyżek wyżywi całą rodzinę, a jeszcze dla psa sąsiada kawałek kotleta schabowego zostanie.

Czy jednak możemy nasze dzieci uczuć, aby myślały o zostaniu „tu i teraz” i kształceniu się w zawodzie nauczyciela (podołno bardzo piękne ongiś zajęcie), inżyniera (ale takiego, który myśli, a nie kieruje brygadą)? Uważam, że nie możemy, bo trudno jest w otaczającej nas rzeczywistości znaleźć pozytywne przykłady, zadowolonego z życia nauczyciela czy nie dorabiającego na boku w warsztacie kolegi inżyniera. O milicjantach się nie wypowiadam, bo u nich wszystko jest tajne.

Póki co mogę się jednak podjąć zrobienia na czyjeś zamówienie (musi być dobrze płatne) badań wśród młodzieży w tej właśnie kwestii.

KAROL KIEŁ

Do mieszkańców miasta przyjdzie na plac Reymonta, by zapytać o warunki przyjęcia do sekcji modelarskiej, tu zgłosić chęć uczestniczenia w kole poezji? Pytania te stawiają sobie corocznie instruktorzy Złotoryjskiego Ośrodka Kultury.

To samo, ale czy tak samo?

Tak jak w innych tego typu placówkach, działa w ZOK-u sekcja plastyczna dla dzieci i klub plastyczny skupiający dorosłych, którzy przychodzą na wystawy, przeglądy, pogadanki. Są fotograficy, modelarze i filatelisci. Są „maratony bajek” i filmy dla dorosłych wyświetlane techniką video. I chociaż video — jak mówi Sławomir Trocki, dyrektor ośrodka — jest tylko środkiem, bo nie zastąpi pianina czy pędzla, to zyskało sobie wielu zwolenników. Do ZOK-u teatru przywożą swoje spektakle. Artysci, dziennikarze, podróżnicy spotykają się tu z mieszkańcami miasta. W hallu niemal ciągle organizowane są wystawy plastyczne. Miłośnicy książek spotykają się na wystawach ekslibrisu. Wszelkimi imprezom towarzyszą pomysłowo zaprojektowane afisze, zdjęcia, znaczki i katalogi. Kilkakrotnie z

kiedy szkoła zachęcała czy wręcz zalecała udział w sekcjach ośrodka. Teraz szkoły prowadzą tzw. działalność pozalekcyjną, z której są rozliczane, ale tajemnicą poliszynela są jej efekty. Gdyby szkoła poważnie traktowała ośrodek kultury, można by nieciekawie często, będąc powołaniem lekcyjnym na przykład zajęcia plastyczne — poprowadzić z odwiedzającym własnie ośrodek artystą plastikiem. Można by gdyby istniała zachęta i czynny udział ze strony nauczyciela, gdyby nie ograniczono się do wywieszenia plakatu. Tymczasem próby utworzenia międzyszkolnego chóru zakończyły się niepowodzeniem. Ba, nawet międzyszkolny turniej (obie inicjatywy ZOK-u) nie przysięgł się — zamiast zmoczyć konkurencję, zintegrować młodzież miejscowego LO i ZSZ, wywołały raczej ich wzajemną niechęć.

— Czy w tej sytuacji uda się akcyjne konkursy recytatorskie przekształcić w studio? Czy przyjdą do nas próbujący swych sił młodzi poeci, którzy obawiają się mogą reakcji otoczenia? — zastanawia się Trocki, autor wierszy i fraszek, wydanych przez ZOK w kilku tomikach. Zna reakcję malomiasteczkowego środowiska.

ki zawodowe, które jakże często refundują bilety, bo jeżeli już mamy gdzieś pojeść, to zniżka ceny jest istotnym argumentem. Przeceniona kultura?

Jakże często rodzice uważają, że wstępy, wyjazdy, należą się dzieciom, dla siebie nie potrzebują nic. Przekonał się o tym dyrektor Trocki zlotoryjskich zakładów. A przecież — jak przekonywał — dzieci uczą się od rodziców, obserwują, nasłuchują, czerpią wzory z ich postępowania. Co może zrobić najlepiej działający dom kultury dla młodzieńców, którzy (co szczególnie) zbierają się i przesiadują w jego pobliżu, na to jednak, by wejść do środka i sprawdzić co się tam dzieje, nie mają ochoty?

Dla wielu rozrywka oznacza dyskotekę. Stąd nierzadko Trockiemu stawiane są zarzuty, że nie organizuje ich u siebie. Ale dyrektor od lat konsekwentnie się broni: — Czy tego typu potrzeby powinna zaspokajać placówka, która ma upowszechniać dorobek kulturalny? Dławi mnie biorą — mówi — kiedy ktoś wspomina o rozrównaniu swój kontakt z „kulturą”: ja tu u was byłem na Sylwestra — potańczyłem, popiełem, popieśwale. Fajnie było.

A przecież dyskoteki urządzają restaura-

ksze wzniesienia: Ostrzyca (100 m n.p.m.), Grodziec (139 m n.p.m.), Wilcza Góra (173 m n.p.m.). W roku numerach gazety Różni Górkowscy pisali o nadkarczawskich zamkach: Boikowie, Roklini, czy i Grodziec. Materiały archiwalne i dokumenty nierzadko uzupełnia legendą, jak choćby ta o minich z rękawiczkami z zamku, który nocą biegał ziołami monety. Nie zapomniano też o kamiennolomach i poszukiwaczach złota.

Często turyści w swoich wędrówkach radzą się mapy i konkretnego numeru „Barwy Kaczawskiej”. Ten dwumiesięcznik zdobył sobie popularność wśród sympatyków gór w całym kraju. Do klubu przychodzą listy z prośbą o nadesłanie jednego bądź kilku numerów gazety. Prawdopodobnie dociera ona w ten sposób za granicę, do tych, którzy tu kiedyś mieszkali; nie tylko Polaków. Może jest to replika na pracę wychodzącą w RFN, a wydawane przez Goldbergowskie, (Goldberg — Złota Góra, dawna nazwa Złotoryi) ziomkostwo?

Dobrze, w kraju, za granicą — powie ktoś — a co z terenem, na którym „Barwy Kaczawskie” powstają i który mają popularyzować? Otóż, niestety, choć nie generalnie, sprawdza się zasada „cudze chwalicie, swego nie znacie”. Wielu

Bez stereo-typów

Lucyna Haluch



Złotoryja obchodziła w ubiegłym roku jubileusz 775-lecia.

Fot. Wincenty Kolodziejczyk

udziałem i pomocą młodzieży wystawiano w ZOK-u widowiska, a najbardziej utkwiło mi w pamięci pierwszomajowe. Wręczenie odznaczeń przodownikom pracy na tle scenografii stanowiło element widowiska. Odznaczeni, przeważnie starsi ludzie, plakali ze wzruszenia, zaproszeni goście i widzowie twierdzili, że medale przypięte przy tak uroczystej oprawie, to dodatkowe wyróżnienie, a wręczający orzekli, że jest to forma wyjątkowo trafna, a przy tym nieszablono-

wa. Złotoryjski Ośrodek Kultury bywa też mecenasem. Z jego inicjatywy wydano prace zlotoryjskiej historii Romana Gorzkowskiego (m. in. „Najdawniejsze dzieje Złotoryi”). Podobną rolę spełnił ośrodek w przypadku teki grafik przedstawiających charakterystyczną zabudowę miasta autorstwa tutejszego plastyka — Zygmunta Luksandra.

Nie wszystkie pomysły udaje się realizować. Był projekt spotkań z ciekawymi ludźmi mieszkającymi w Złotoryi i okolicach: podróżnikami, hobbistami, działaczami — przychodziło niewielu ludzi. Były wieczory satyry — szybko wyeksploatowali się ich bohaterowie. Działalność swego czasu Teatrzyk Malucha, którego echa odzywały się jeszcze w „Spotkaniach z bajką”, a pamiętając po nich jest gąbłota zapelniona kolorowymi znaczkami, przedstawiającymi m. in. „Kota w butach”, „Czerwonego Kapturka”, „Kopciuszka”. Kilkaletnie dzieci z radością je rozpoznają i wykrzykują ich imiona. Dla dzieci ZOK jest zawsze otwarty. Przedszkolaki, które u siebie miejsca zbyt wiele nie mają, są tutaj częstymi gośćmi. Przychodzą na spektakle odwiedzających Złotoryję teatrów lalek, tu prezentują rodzicom swoje umiejętności, a tradycją stają się uroczystości pożegnania z przedszkolem — starszaki z kilku placówek mówią wiersze, śpiewają i tańczą na prawdziwej estradzie. Dlaczego przedszkolaki? Bo w nich instruktorzy upatrują przyszłych swoich podopiecznych i bywalców imprez. One będą pamiętać swoje wrażenia, po latach znając być może swoje zdjęcie w jednej z wielu ogromnych ksiąg — kronice ZOK-u. Maluchy przychodzą tu z nauczycielkami. Panie przygotowują dzieci, są z nimi, wysłuchują wrażeń, na swój sposób omawiają je. A co dzieje się, kiedy dziecko idzie do szkoły? Praktycznie kontakt się urywa. Minęły czasy,

Fakt, że Złotoryja jest niewielką i mało uprzemysłowioną, rodzi daleko większe konsekwencje. Otóż etatowych instruktorów ZOK-u jest dwóch — dyrektor i jego współpracownica. Ludzie odchodzą do pobliskich gminnych ośrodków, które oferują mieszkania. Są jeszcze opiekunowie sekcji, zatrudnieni na kilka godzin i części etatów. Zawsze też można liczyć na kierownika administracyjnego, którego troskę o węgiel i stan techniczny budynku trudno oddzielić od pracy merytorycznej placówki. Trudno pominąć kwestie finansowe. Mogłyby być w ośrodku kursy tańca, ale prowadzący je żądają ogromnych sum — 80 tys. zł za kilkanaście godzin pracy. Biorąc pod uwagę, że jednocześnie może tańczyć 30 par, łatwo wyliczyć koszt imprezy dla ewentualnych chętnych. Były zajęcia z komputerem wypożyczonym z legnickiego NOT-u. I znów koszty (każdorazowy transport) okazały się barierą nie do pokonania. Nie ma chętnych, którzy poprowadziliby naukę języków obcych. Nauczycielom nie odpowiada forma zajęć, bo to nie system lekcyjny, inni chwytają się tłumaczeń, że ci spozna Złotoryi nie chcą dojeżdżać. Nie ma w Złotoryi choreografa i muzyka, nie ma więc zespołu piosenki i tańca. Szkoda, chociaż — czy każdy ośrodek, każde miasto, musi taki zespół mieć?

Brak ludzi, instruktorów, paraliżuje działalność. Gdyby można było ich ściągnąć (mieszkania!), wzrosłaby motywacja do poszerzania form, do uatrakcyjniania działalności, pojawiłaby się atmosfera zdrowej konkurencji. Tymczasem nie ma jej w ramach ośrodka, nie ma jej też w mieście. Jeszcze niedawno działały kluby zakładowe. Teraz został Klub Nauczycieli „Bacalarus” i — od niedawna ożywiali osiedle w sąsiedztwie hotelu „Pod Basztą” — klub spółdzielni mieszkaniowej.

Jest jeszcze jedna, generalna kwestia — niewielkie zainteresowanie działalnością kulturalną, brak potrzeb związanych z uczestnictwem w wydarzeniach nawet na skalę niewielkiego miasteczka. Wszak nie jest tu potrzebna ogromna wiedza czy fachowe przygotowanie, wystarczy chęci i zainteresowanie. Można coś ciekawego zrobić, czegoś się dowiedzieć, obejrzeć, posłuchać. Tymczasem przywykliśmy się do namawiania na imprezy. W dużej skali zachęcają publikatory, w małej ośrodki kultury, zwią-

racie, od których nikt nie wymaga, by zorganizowały wystawę czy widowisko. Podobno dyskoteki przyciągają chętnych, są sposobem na popularność ośrodka, ale jaka jest gwarancja, że ci, którzy lubią potańczyć, przyjdą także na wystawę, pokaz lub spotkanie z kimś znanym? Po co zabiegać o zaspokojenie kulturalnych potrzeb minimum i (co prawdopodobnie) narzekać na niewielki efekt przedsięwzięcia? Dlaczego nie pomyśleć o tych, którzy mają określone umiejętności, zainteresowania...

W Złotoryjskim Ośrodku Kultury postanowiono właśnie na tych, którzy chcą i potrafią robić rzeczy ciekawe. Efektem są przede wszystkim

„Barwy Kaczawskie”

— plakatowa gazeta, dorobek Klubu Miłośników Gór. Wszystko zaczęło się, gdy po dwudziestu sezonach działalności ZOK-u, Trocki, jako czternasty z kolei dyrektor, zaproponował nową koncepcję placówki. Upowszechnianie dorobku kulturalnego miało być ściśle połączone ze specyfiką regionu. Góry i Pogórze Kaczawskie to miejsca niezwykle malownicze. Zielone doliny otoczone skalistymi wzniesieniami, wiele nieczynnych wulkanów, zamków i kaszteli, niezliczone szlaki turystyczne i zabytkowe miasteczka — najstarsza na Dolnym Śląsku (obok Kłodzka) Złotoryja, obchodziła w ubiegłym roku jubileusz 775-lecia.

Dość szybko zebrał się wokół pomysłodawcy, tacy jak on — zapaleńcy, miłośnicy gór. Organizowali wycieczki, nocne rajdy, utworzyli Klub Miłośników Gór, a od kilku lat popularyzują swój teren w „Barwach Kaczawskich”. Jest to przewodnik, informator i bogate źródło wiedzy o geografii, geologii, przyrodzie i historii. Obszerne opracowania poświęcono kamieniom szlachetnym i ozdobnym, jakie znaleźć można w tym regionie.

Opisano rezerwy przyrody i obszary krajobrazu chronionego, m. in. jedyne na Dolnym Śląsku miejsce, w którym rośnie rzadko spotykana paproć — jęczynnik zwyczajny (mowa o Wąwozie Myśliborskim). Na lubiących ryzyko czekają jaskinie Gór Kaczawskich: najdłuższa — Gwiaździsta (ponad 350 m), najgłębsza — Jasna (100 m głębokości). Nie mogło zabraknąć miejsca dla pozostałości wulkanów, tzw. nek, czyli wartości wnętrza kraterów — najwię-

mieszkańców ziemi zlotoryjskiej nie wie gdzie są Krucze Skąły (stacja PKP w Jerzmanicach Zdroju), jak wysoka jest Kostrza, Wilcza Góra. Wielu zna bałtowskie Organy Wielisławskie, ale nawet nie wszyscy narciarze korzystający zimą z wyciągu w Wojcieszowie wiedzą, że stok ten latem to poziomkowy kobierzec... A „Barwy Kaczawskie” rozsyłane są do wszystkich zakładów pracy w Złotoryi. Gazeta jest plakatowa, może więc zapelniać każdą, odpowiadającą rozmiarom gabloty. Szkoda, że nie zawsze można ją tam obejrzeć i przeczytać. Zachłanni sympatycy? A może taktyka kierownictwa, podyktowana obawą, że ZOK zwróci się o pomoc dla gazety, a wszystko co mogą lub chcą ofiarować, to kilkanaście tysięcy złotych? Bo Klub Miłośników Gór (piszą, sami opracowują graficznie i przygotowują gazetę do druku) miewa kłopoty. Największe z papierem. Złotoryjska drukarnia chętnie podejmuje współpracę z ZOK-iem, ale w myśl zarządzeń, papier musi dostarczyć „zainteresowany”. Smutne realia ostatnich czasów. Nie ma problemów z piszącymi, zaangażowanymi ludźmi, materiałów nie brakuje, są zdjęcia, rysunki — kłopot z papierem. Złotoryjscy miłośnicy gór są rozgorzgnięci, ale nie rezygnują. Ukazało się już 25 numerów gazety. Papier — jest na kilka następnych. Co potem? — pertraktacje z papierniariami i drukarniami trwają.

„Barwy Kaczawskie” proponując czynny wypoczynek, zbliżają czytelników do miejsca, z którym są związane. Tradycją stały się primaaprilisowe niespodzianki przygotowywane dla mieszkańców Złotoryi przez Klub Miłośników Gór. A to ciekawskim ukazuje się jurajski gad, którego dotknięcie powoduje poprawę samopoczucia, a to pod Wilczą Górą odnaleziono skarb ukryty w 1813 roku przez oddział wojsk napoleońskich.

Przygoda, tradycja, legenda — bez nich życie byłoby nieciekawie. Co daje takie połączenie działalności kulturalnej ze specyfiką regionu? Przede wszystkim jest to sposób na przedarcie się przez warstwę izolacji, którą stanowi przytłaczająca rzeczywistość, tępa nieścisłość to co oddziela ludzi od siebie, co powoduje, że zamykają się w czterech ścianach mieszkaniowej nieinteresującej, ani przesyłanej, nieścisłości miasta czy terenu, na którym mieszkają.

„Z miłości”

Po przeczytaniu artykułu red. Marii Kuncaitis pt. „Z miłości” zamieszczono go w „Konkretach” nr 2/88, jako jedną z wielu osób zainteresowanych sprawą Macieja i jego opiekunów państwa Krystyny i Bogdana K., domagam się sprostowania informacji udzielonej przez Marię Wolak, pedagoga TPD w Legnicy. Fragment ten dotyczy wizyty Krystyny K. w TPD, cyt. „Pani K. przyszła z dzieckiem w towarzystwie znajomych...”

Do TPD w Legnicy udałam się wraz z panią Marią Jasińską (przewodnicząca Koła Pomocy Dzieciom Specjalnej Troski), Krystyną K. oraz Maciejem. Dziecko nie chciało odejść od opiekunki i dlatego ja, jako osoba dobrze zorientowana w sprawie wraz z panią Jasińską przedstawiliśmy sytuację dziecka i jego opiekunów pani Marii Wolak. Ani dziecko, ani Krystyna K. nie uczestniczyły w rozmowie, w tym czasie przebywały na korytarzu TPD. Takie wyjście z sytuacji zaproponowała sama Krystyna K. mając na względzie dobro dziecka. Tak więc oświadczenie pani Marii Wolak o rzekomym szkalowaniu biologicznej matki dziecka w jego obecności przez wychowującą je Krystynę K. jest obrzydliwym kłamstwem.

Efektom naszej wizyty i jeszcze dwóch następnych u pani Marii Wolak było zalecenie z jej strony maksymalnego zainteresowania sprawą dziecka osób, które mogłyby przyjąć z pomocą z racji zajmowanych stanowisk m. in. Krystyny Zielińskiej, Jerzego Urbana, władz PZPR, Ministerstwa Sprawiedliwości, Zarządu Głównego TPD, Redakcji Tygodników „Przyjaciółka” i „Kobieta i Życie”. Ponadto pani Maria Wolak doradziła nam wywiezienie dziecka z Legnicy, w celu uniemożliwienia zabrania go przez biologiczną matkę na okres 30 dni do Francji. Ponieważ informacje przedstawione w artykule powinny być rzetelne i nie mijające się z prawdą proszę o umieszczenie powyższej informacji.

HALINA RÓŻAŃSKA

★

Jestem jedną z tych dwu osób, które były na rozmowie w TPD. Jestem także matką samotnie wychowującą kalekie dziecko. Panią Krystynę K. znam chyba od 20 lat. Znam też jej problemy i kłopoty związane z wychowaniem i następnie brutalnym odebraniem Macieja. Nigdy w mojej obecności nie mówiła ona do Macieja źle o jego matce, słyszałam natomiast, że Maciej ma mamę we Francji i kiedyś, kiedy będzie rozumiał, zadecyduje sam o sobie. Podczas naszej rozmowy w TPD pani K. była z dzieckiem na korytarzu, a w rozmowie uczestniczyłam ja i moja znajoma Halina Różańska. Zaskoczona jestem twierdzeniem, że dziecko słuchało całej rozmowy i musiało wysłuchać wszystkiego złego o swojej matce. Przed wydrukowaniem należało skontaktować się ze wszystkimi, którzy coś na ten temat wiedzą. To ja pisałam niektóre pisma dla pani K., to ja telefonowałam do Komitetu Centralnego, to w końcu ja namówiłam Krystynę K. na rozmowę z przedstawicielami TPD, tylko że dzisiaj tego serdecznie żałuję.

Mama Macieja jest tak ładnie opisana w Pani artykule, ale pytam jak to się stało, że pielęgniarce, której ma być, zostawia z nim 11-miesięczne niemowlę i jedzie na zarobek. Czyżby wtedy nie pili? A może to Francja przewróciła dziewczynę w głowie? Nie wyobrażam sobie, żeby mogła zostawić swoje dziecko komuś mało odpowiedzialnemu, a już na pewno nie pijakowi. Stan wojenny nie był przeszkodą dla nikogo, kto chciał wrócić do Polski. Dla matki, która kocha swoje dziecko wszystkie granice są otwarte. Magia pieniędzy wartościowszego od złotówki, piękno Paryża było silniejszym niż miłość magnesem do (wtedy jeszcze jedynego) dziecka. Nic by mnie nie zatrzymało poza granicami kraju, czy nawet w innym mieście w Polsce, jeśli nie byłaby pewna co z moim dzieckiem. Jakoś przeżyłam i stan wojenny, i podwyżki, choć w jednym płaszczu 5 lat i nie narzekam. Owszem, chciałabym wyjechać na ten Zachód ale tylko po to aby leczyć swoje dziecko, bo w Polsce niestety takimi jak moja córka nikt się nie zajmuje i dla takich dzieci w Polsce szans nie ma. Dla jednej modnej pary rajstów i kilku zginiętych pomarańczy nie pojechałabym na pewno. W całej tej sprawie wszyscy po kolei zapomnieli o jednym, że dziecko powinno być wartościowe najwyższą. Jego stan psychiczny nie był brany pod uwagę. Nawet laik orientuje się, że największą więź emocjonalną następuje w pierwszym okresie życia dziecka, a dziecko przywiązało się do doct. (...) Wyobrażalam sobie powrót Macieja do matki biologicznej, ale nie w takich warunkach i nie w takiej sytuacji w jakiej to nastąpiło. Na wszystko musi przysiąść czas. My, dorośli, tak dbający o własne dobro, zapomnieliśmy o kimś kto sam nie potrafił zapomnieć się o sobie. Maciej wyjechał, będzie żył w dobrobycie, ale czy w jego psychice nie

nastąpiły nieodwracalne zmiany, które być może zaważą na dalszym jego życiu? Czy pomarańcze, banany, wymyślne zabawki zastąpią serce, uczucie, miłość, a może w myśl zasady że wszystko można kupić, można też będzie kupić Macieja? Napisała pani o naszej rozmowie w TPD. Miała ona zupełnie inny charakter, pani Maria Wolak zasugerowała nam jak należy postąpić a potem zmieniła własne zdanie, być może zapomniawszy, że ja byłam przy tej rozmowie i doskonale pamiętam co wówczas było mówione. Kłamstwo ma krótkie nogi, proszę więc o rozmowę s



Fot. Andrzej Pańczuk

wtedy ja przekazać Pani moje zdanie na ten temat i na pewno wtedy zmieni Pani lub sprostuje swój artykuł.

MARIA JASIŃSKA

★

W numerze 2/88 waszego tygodnika ukazał się artykuł „Z miłości” Marii Kuncaitis. W artykule tym autorka stara się niezdarnie uzasadnić skandaliczne orzeczenie sądu w Legnicy w sprawie wydania Maciusia matce biologicznej oraz odebrania dziecka ojcu, który przez 7 lat żył na jego utrzymanie. Dziecko w 11 miesiącu życia zostało porzucone przez matkę, która wyjechała do Francji na pobyt czasowy. (...)

Dziecko zdobyło w rodzinie K. status członka rodziny i mogę stwierdzić, na podstawie obserwacji oraz opinii pedagogów z przedszkola PKP, że było szczęśliwe i szczególnie zadbane. Argumenty wymyślone przez adwokatów (doliczone czule listy matki były pisane na miejscu pod dyktando, na pewno nie za darmo). Matka praktycznie dzieckiem zaczęła się interesować po pięciu latach. (...)

Dziecko w Polsce miało bardzo dobrą ciotkę, kuzynów, wujka i ojca. Dziecko we Francji będzie miało matkę biologiczną, kalekiego ojczyma i dwie siostry (niby siostry) niewiadomego pochodzenia.

Sąd absolutnie nie kierował się przy orzekaniu dobrem dziecka, lecz sytuacją materialną matki. (...)

mgr FRANCISZEK WITKOWSKI
Legnica

OD AUTORKI

Tak się złożyło, że wszystkie trzy listy pochodzą od osób, które czynnie były zaangażowane po stronie państwa K., wspierając ich w staraniach utrzymania chłopca w swojej rodzinie. Stąd też ich treść taka a nie inna. List pana mgr. Witkowskiego publikujemy jedynie we fragmentach, nie dlatego, że jest ostry, jak sądzi autor, lecz dlatego, że nie nosi on cech ani sprostowania, ani polemiki, ani merytorycznego uzupełnienia. Jest on natomiast próbą oczerznienia i zdyskredytowania drugiej strony, czyli matki dziecka i to na zasadzie: jedna pani drugiej pani... Pani magi

strzyły rzeczowej wymianie argumentów, a nie szerzeniu pomówień.

Zapewne zdaniem pana Franciszka Witkowskiego, artykuł nie byłby tendencyjny, gdybym się tylko i wyłącznie ograniczyła do opisanego dramatu oja i małżonków K., w takim duchu jak to sam uczynił w liście, używając przy tym argumentów z pogranicza plotki, a domysły traktując jako fakty. Oto przykład: cyt. „wyszła za mąż za bogatego lecz starego, chorego człowieka”. No, chyba, że za starego uznać trzydziestolatkę (wówczas). Smiem również wątpić, czy farmaceuta (aptekarz) zalicza się w tamtejszych realiach do bogaczy. Ale panu Witkowskiemu chodziło raczej o coś innego, chciał przez to powiedzieć: kobieta bezwzględna, wyrachowana, bez skrupułów. A stosowne wnioski sam czytelnik wyciągnie. W aktach sądowych nie znalazłam również „czułych listów matki pisanych pod dyktando”, były natomiast listy adwokata do Zofii L.

No, i oczywiście, nie powinnam była naruszać idealnego wizerunku ojca dziecka, pozostając przy tym, co mówiła o nim najbliższa rodzina, a co znacznie różniło się od ustaleń sądu. Zle również zrobiłam pytając biegłych psychologów i pedagogów, na czym to opierali swoje opinie, które poważnie zadecydowały o orzeczeniu sądowym. A już szczytem dziennikarskiej nieporadności była publikacja tych opinii rzucających cień na zabiegi wychowawcze opiekunów. Należało poza tym jeszcze dołożyć matce Maćka (bo nieobecni racji nie mają), która dla kilku zginiętych pomarańczy i modnych rajstów, omamiona blaskiem twardej waluty uciekła za granicę, zostawiając dziecko na bruku (a nie pod opieką swojej matki, jak to usiłuje sugerować sąd). Dołożyć trzeba było i za to, że nie chciała latami chodzić w jednym i tym samym płaszczu i być jeszcze przy tym zadowolona, za to, że nie w smak jej było w nieskończoność wędłować wraz z rodziną w hotelowym pokoiku, albo ostatecznie zamieszkać u rodziców na wsi... w autobusie przerebionym na mieszkanie. Doprawdy całkiem się już ludzkiem w głowach przewracało. Zapomniałam też, przynajmniej ze wstydem, długo wkuwanej lekcji, że ten kto wyjechał został za granicą, niezależnie od motywów, powinien być odsądzony od czci, wiary i praw. I tyle moich grzechów, do których się publicznie przyznaję. A teraz do rzeczy.

Myszę, że większość czytelników poją, iż celem artykułu nie było opowiadanie się po czyjejkolwiek stronie, lecz zwrócenie uwagi na szerszy problem — dramat dziecka uwikłanego w skomplikowaną sytuację rodzinną i prawną. Mówię o problemie, gdyż los Maćka nie należy do absolutnych wyjątków. Sądy rozpatrują setki i tysiące podobnych spraw, wyrzynania sobie nawzajem przez rodziny dziecka. Tyle że rozgrywających się przeważnie w sferze krajowej, bez wątków emigracyjnych, dodatkowo rozpalających emocje.

Co do zarzutów stawianych pani Marii Wolak, sądzę, że wypowiadając się na publiczny użytek, wzięła na siebie pełną odpowiedzialność za przekazywane dziennikarzowi informacje. Chęć również zauważyć, że z mojego artykułu nie wynika, iż państwo K. byli dla Maćka niekochającymi opiekunami. I jeżeli chodzi o moje zdanie, to sądzę, że pojawienie się u dziecka lęku przed matką było mimowolnym skutkiem ich nieświadomego postępowania, a nie celowego nastawiania przeciwko matce.

Nie ulega wątpliwości, że od dłuższego czasu dziecko żyło w atmosferze stałego lęku i zagrożenia. Czyż nie można było mu zaoszczędzić tych wszystkich dramatycznych przeżyć? Na pewno — tak. Gdyby dorośli (myśle o wszystkich, którzy byli włączeni w tę sprawę) doszli do porozumienia i uświadomili sobie, że najważniejsze to nie skrzywdzić dziecka. Zabrakło też kogoś, kto by im tę konieczność uświadomił (TPD?, sąd?, Komitet Obrony Praw Dziecka?...).

Można było odrzucić urazy, niechęci, ambicje i po prostu zwyczajnie porozumieć o tym, co będzie w tej sytuacji dla dziecka najlepsze, bo z pewnością nie odgradzanie się coraz to wyższym murem nienawiści. Właśnie z miłości do dziecka należało ten krok uczynić. Proces ciągnął się dwa lata, więc było na to dość czasu. Ale niestety, skończyło się jak zwykle w takich przypadkach na próbie siły. Zwyciężyła nienawiść, a nie miłość. A ofiara jest zwykle ta sama — dziecko.

MARIA KUNCAITIS

Przez Warszawę bliżej?

Obchodzimy 43. rocznicę wyzwolenia Legnicy, a z usługami pocztowo-telekomunikacyjnymi jest nawet gorzej, niż 30 lat temu. Pamiętam na przykład, że w latach pięćdziesiątych w okresie przedświątecznym listonosz roznosił listy dwa razy dziennie, przed południem i po południu. A obecnie na kartkę z życzeniami świątecznymi czeka się tydzień i dłużej.

Ostatnio dowiedziałem się, że aby otrzymać bezpośrednie połączenie telefoniczne z Poznaniem, trzeba wykupić najpierw kierunkowy numer łączący z Warszawą, a dopiero później — kierunkowy z Warszawy do Poznania. Czy do Poznania jest bliżej przez Warszawę?

Legniczanie

„Gaz czy węgiel?”

W związku z moim listem „Gaz czy węgiel” zamieszczonym w numerze 44/87 „Konkretów” chciałbym jeszcze powrócić do tego tematu.

Jestem członkiem Rady Nadzorczej Scinawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej oraz sekretarzem ideologicznym POP w Lubimskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Chciałbym wykazać przyczyny, które skłoniły radę do podjęcia bardziej zdecydowanych działań na rzecz gazyfikacji miasta.

Na zebraniu przedstawicieli w dniu 1987.06.12 na ten temat ze strony władz miasta powiedziano, że: jak sa pieniądze, to nie ma wykonawcy, a jak jest wykonawca to nie ma pieniędzy. Wynika stąd, że jedynym problemem od kilkunastu lat było i jest nadal właściwe skoordynowanie obu tych spraw. Mam poza tym pytanie: Dlaczego wyczerpującej i obszernej odpowiedzi na mój list udzielił Urząd Wojewódzki („Konkrety” 2/88), a nie władze Scinawy, które powinny być bardziej zainteresowane tym tematem niż „ktoś wyżej”.

Czy zamieszczenie w „Konkretach” mego listu spełniło oczekiwania? Sądzę, że tak, choć w sposób połowiczny. Przyszłych użytkowników osiedli mieszkaniowych w Scinawie chciałbym poinformować, że osiedla Wołowskie II oraz osiedle w okolicy ulic Świerczewskiego, Jagiello i Mickiewicza, dzięki zawartemu porozumieniu (po ukazaniu się mego listu w prasie) pomiędzy Spółdzielnią Mieszkaniową i Spółdzielnią „Gazyfikacji”, zostaną wyposażone w gaz butlowy, a nie w kuchnie węglowe jak pierwotnie zamierzano. Uczciwie jednak trzeba powiedzieć, że stało się to możliwe dzięki planom budowy rozlewni gazu w Scinawie i zapewnieniu w zamian przez spółdzielnię niewielkiej ilości mieszkań z przyszłych efektów mieszkaniowych pracownikom rozlewni gazu.

Natomiast nadal otwartą sprawą pozostaje doprowadzenie gazu ziemnego do Scinawy. Już dziś kieruję apel do przyszłych radnych Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Scinawie o kontynuowanie działań w tym kierunku. Za celowe uważam również utworzenie Społecznego Komitetu Budowy Gazociągu. Widziałbym tu duże pole do popisu dla PRON.

Jeśli więc wszyscy wspólnie będziemy wszystko robić w tym kierunku, by doprowadzić gaz do miasta, istnieje realna szansa, że po roku 1993 osiągniemy swój cel.

ZBIGNIEW PORASZKA
Scinawa



Zdjęcia:
Krzysztof Biedugnis

Ich pierwszy bal



Kuratela (2)

Wanda Dybalska

W styczniu 1988 roku w Legnickim pracował jeden, jedyny kuratorski ośrodek pracy z młodzieżą. Tylko w Lubinie. Danuta Piotrowskiej, prezesa Sądu Rejonowego w Lubinie nie satysfakcjonuje jednak ten fakt. W ubiegłym roku rozpoczęła batalię o uruchomienie podobnych placówek w nowych lubińskich osiedlach. Bez rezultatu. Uchwała radnych MRN (z maja 1987) zobowiązująca administrację miasta do rozbudowania sieci kuratorskich ośrodków pozostała na papierze. Zarówno Spółdzielnia Mieszkaniowa „Przylesie”, jak i Spółdzielnia „Zagłębia Miedziowego” odpowiedziały odmownie na prośbę sądu o przydzielenie pomieszczeń. W istniejącym ośrodku przy ul. A. Mickiewicza też ciasno. Dwa mikroskopijskie pokoiki, ciemna kuchnia, parę krzeseł i stołów — wszystko dzielone pół na pół z członkiniami osiedlowego komitetu Ligi Kobiet Polskich. Warunki bardziej niż skromne. Prymitywne.

A przecież nie tylko o miasto chodzi. Sąd obejmuje swoją działalnością były powiat lubiński, więc Danuta Piotrowska chciałaby mieć takie ośrodki chociaż w Chocianowie, Polkowicach, Ścinawie, Rudnej... Są szanse w Chocianowie, nadzieje w Polkowicach. Oby znów nie okazały się ponne!

Bogdan Bazylczyk, wiceprezes Sądu Wojewódzkiego w Legnicy też nie ma powodów do zadowolenia. Mówi głównie o planach, które wciąż rozbijają się o brak lokali. Będą jeszcze ośrodki w Głogowie, Legnicy... W sumie pięć, sześć w województwie. Zdaniem wiceprezesa Bazylczyka to musi wystarczyć.

W pięciu ośrodkach znajdzie pomoc około stu sądowych podopiecznych. Zarządzenie ministra sprawiedliwości precyzuje jasno: w jednym ośrodku może przebywać nie więcej niż dwadzieścia osób. Wystarczy pomnożyć.

W dzienniku zajęć prowadzonym w placówce przy ul. Mickiewicza dziewiętnaście nazwisk. Wniosek oczywisty: tylko sąd w Lubinie i tylko dziewiętnaście razy skorzystał w ostatnim czasie z punktu szóstego zawartego w artykule szóstym ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich, który brzmi: sąd rodzinny może skierować do kuratorskiego ośrodka pracy z młodzieżą. Pozostałe trzy sądy rodzinne (w Legnicy, Głogowie i Jaworze) z pewnością nawet nie sięgały do tego punktu, bo po co kierować, skoro ośrodków po prostu nie ma. I mamy martwy przepis!

A w corocznych sądowych sprawozdaniach jakże „żywe” liczby: w 1986 roku do sądów rodzinnych w Legnickim wpłynęło 496 spraw dotyczących nieletnich (w tym w Lubinie 184) i 1215 spraw opiekuńczych. W roku ubiegłym już 548 spraw dotyczących nieletnich (w Lubinie 211) i 1266 opiekuńczych. Za liczbami kryją się większe i mniejsze dziecięce dramaty...

Ustawa o postępowaniu w sprawie nieletnich wymienia kuratorskie ośrodki jako jeden z wielu środków wychowawczych, które sąd rodzinny może wykorzystać w swoim orzeczeniu. W ogóle ustawa z 1982 roku okazała się dokumentem niemal rewolucyjnym, „wnoszącym” w zakresie rozwiązań ustawowych tak rozległe i głębokie zmiany, że można o nim mówić jako o całkowicie nowym, nie mającym pierwowzoru tworze legislacyjnym.

Do 1982 roku obowiązywały przepisy kodeksu karnego z 1932 roku i przepisy kodeksu postępowania karnego z 1928 roku dotyczące nieletnich sprawców „czynów zabronionych pod groźbą kary”. Z prostego rachunku wynika, że równo pół wieku czekały na gruntowne, ustawowe rozwiązania problemy związane z demoralizacją i przestępczością dzieci i młodzieży!

Wprawdzie w tym półwieczu pojawiały się co jakiś czas różne innowacje (np. powołanie sądów rodzinnych, innowacji ustrojowej — jak pisze Adam Krukowski), ale dopiero ustawa rozprawiła się ostatecznie z postanowieniami przedwojennego kodeksu. Kodeks ten opierał się głównie na stosowaniu represji wobec nieletnich sprawców. Dzieci, które popadły w konflikt z prawem były ścigane, zatrzymywane, skazywane, karane bardziej lub mniej boleśnie. Ustawa przypisała sądom jakby zupełnie nową rolę — instytucji resocjaliza-

cyjnej, w której na plan pierwszy wysunęła się profilaktyka czyn zapobieganie demoralizacji i przestępczości nieletnich. Rewolucja była tak wielka, że z leksykonu sądów rodzinnych zniknęły nawet takie sformułowania jak: skazywać, rozpoznawać, wyrok... Sąd już nie skazuje dziecka na zakład poprawczy, ale orzeka, kierując się przy tym w każdym wypadku dobrem, nieletniego.

Dobro dziecka to naczelną ideą ustawy. W imię dobra dziecka sąd może ingerować w życie rodziny nie tylko wtedy, gdy dziecko zanotowało na swoim koncie tzw. czyn karalny. Ustawodawca zobowiązuje sędziów do działania już w chwili zagrożenia, do angażowania szkół, zakładów pracy, służby zdrowia, zakładów pomocy społecznej, organizacji społecznych. Czekanie na przestępstwo to sędziowski grzech.

To dla dobra dziecka ustawodawca przyjął słuszną zasadę, że posługiwanie się środkami karnymi stosowanymi wobec dorosłych w postępowaniu z nieletnimi „jest nie tylko sprzeczne z zasadami humanizmu socjalistycznego, ale także nieefektywne wychowawczo”. Zakłady z krętymi w oknach wychowują jednych, ale demoralizują drugich, są szkołą życia, ale i akademia zła.

Cel ustawy brzmi klarownie: chodzi o to, by „przeciwdziałać demoralizacji i przestępczości dzieci i młodzieży, stwarzać warunki powrotu do normalnego życia nieletnim, którzy popadli w konflikt z prawem bądź z zasadami współżycia społecznego, umacniać funkcje opiekuńczo-wychowawcze i odpowiedzialność rodziny”. Cel wielki, harmonizujący z postulatami współczesnej nauki, zwłaszcza pedagogiki i psychologii. Osiągalny, ale nie tylko przy pomocy sądów.

Demoralizacja (nowe pojęcie w polskim ustawodawstwie) to — jak piszą autorzy „Komentarza” — wynik i przejaw nieprzystosowania społecznego. O nieprzystosowaniu świadczy: wagary, zaniedbywanie nauki, niestosowne zachowanie w szkole i poza szkołą, waleśnienie się w towarzystwie zdemoralizowanych kolegów i łączenie się w grupy, zachowania agresywne, wandalizm, ucieczki z domu, picie alkoholu, zażywanie narkotyków, palenie tytoniu, przedwczesne podejmowanie życia seksualnego, popełnianie wykroczeń i drobnych kradzieży, przerwanie nauki przed ukończeniem szkoły itd.

Odkarniona ustawa — zdaniem Danuty Szyszki, przewodniczącej Wydziału Rodzinnego i Nieletnich w Sądzie Rejonowym w Lubinie — formułuje co najmniej kilkanaście środków wychowawczych, które sędzia rodzinny może wykorzystać w orzecznictwie. Może w teorii, ale nie zawsze może w praktyce i nie z powodu złej woli.

Na przykład rzadko kierujemy nieletnich do kuratorskich ośrodków, bo tych ośrodków wciąż brakuje. Rzadko ustanawiamy nadzór organizacji młodzieżowej lub innej organizacji społecznej, zakładu pracy, ponieważ nie kwapią się one do poręczenia za nieletniego. W naszym sądzie w ostatnich trzech latach zdarzył się tylko jeden taki przypadek — klub sportowy poręczył za kolegę — mówi sędzina Szyszka.

W walce z demoralizacją i przestępczością dzieci i młodzieży należy posługiwać się głównie środkami profilaktyczno-wychowawczymi, a nie represyjnymi — dowodzi ustawodawca. Sąd rodzinny może „udzielić nieletniemu upomnienia, zobowiązać do określonego postępowania, do naprawienia wyrządzonej szkody, do przeproszenia pokrzywdzonego, do podjęcia nauki lub pracy, do powstrzymania się od przebywania w określonych środowiskach, do zaniechania używania alkoholu lub innego środka. Sąd może ustanowić nadzór odpowiedzialny rodziców lub opiekuna, nadzór organizacji młodzieżowej lub innej organizacji społecznej, zakładu pracy lub osoby godnej zaufania — udzielających poręczenia za nieletniego. Sąd może zastosować nadzór kuratora, skierować do ośrodka kuratorskiego pracy z młodzieżą, orzec umieszczenie w instytucji lub organizacji powołanej do przygotowania zawodowego, w rodzinie zastępczej, w zakładzie wychowawczym, w placówce opiekuńczo-wychowawczej i w zakładzie poprawczym” itd.

Bogaty katalog możliwości wychowaw-

czych. W nim tylko jeden środek poprawczy, który (jak twierdzą autorzy cytowanego „Komentarza”) właściwie utracił swój dawny charakter, nie jest już quasi-karą, ale wyjątkowym środkiem wychowawczym.

W ubiegłym roku cztery sądy rodzinne w Legnickim orzekły zakład poprawczy bez zawieszenia w 13 przypadkach, zakład poprawczy z zawieszeniem w 43 przypadkach, nadzór odpowiedzialny rodziców w stosunku do 77 osób, nadzór kuratora w 161 sprawach i zakład wychowawczy w 14 przypadkach. Prezes Bazylczyk podkreśla, że zastosowanie środka poprawczego bez zawieszenia to zaledwie 3 proc. orzeczeń. Ustawa zakorzeniła się więc w praktyce sądowej i żyje w świadomości sędziów. Ale to nie wystarczy, by osiągnąć założony w ustawie cel.

Danuta Szyszka uważa, że wszelkie formy izolowania nieletnich (w zakładach poprawczych, wychowawczych, placówkach opiekuńczych) nie są zbyt skuteczne wychowawczo. Bywa, że izolacja (podejmowana zawsze w imię dobra dziecka) jest początkiem demoralizacji, początkiem serii ucieczek, kradzieży, tułaczego życia. Dziecko rwie się do domu, czasem złego i biednego, jak do raju...

Zdaniem sędziny Szyszki najlepsze wyniki wychowawcze można osiągnąć wówczas, gdy dziecko pozostaje w naturalnym środowisku, poddane ścisłemu nadzorowi sądu, instytucji czy organizacji. Dlatego na każdej niemal naradzie poświęconej sprawie „ładu i porządku” sędziowie apelują do kolektywów, organizacji, klubów, stowarzyszeń... by przejęły chociaż część kuratorskich obowiązków. Dlatego zabiegają o rozszerzenie sieci kuratorskich ośrodków pracy z młodzieżą. Jak na razie bez większych sukcesów.

Czy jest o co kruszyć sędziowską kopię? Moim zdaniem tak, skoro chodzi o tak wielką ideę jak dobro dziecka. Kuratorskie ośrodki pracy z młodzieżą istnieją w naszym kraju już od 1971 roku i notują sporo pozytywnych doświadczeń. Opierają się one na oddziaływaniu resocjalizacyjnym i profilaktycznym w środowisku naturalnym wychowanka, to znaczy w rodzinie, w grupie rówieśniczej w szkole. I nie jest to bynajmniej oryginalny polski wynalazek. Franciszka Fronczak, kierowniczka lubińskiego ośrodka podsuwa publikację, w których czytamy, że resocjalizacja młodzieży niedostosowanej społecznie w warunkach środowiska otwartego ma wiele walorów wychowawczych. Wskaźnik efektywności takiego dozoru kuratorskiego przekracza w Anglii 62 proc., we Francji 71 proc. przypadków. W krajach tych stosuje się różne formy wolności nadzorowanej, traktowane jako metody wychowania w środowisku otwartym...

Idee polskich ośrodków są podobne, z tym, że placówek tych przynajmniej w Legnickim praktycznie nie ma. I to jest wychowawcza klęska, nie tylko sądowa, ale i całego dorosłego społeczeństwa. Trzeba pamiętać, że kuratorski ośrodek często jest jedynym miejscem, w którym dziecko zagrożone wykołajaniem (nie z własnej winy) znajduje stół do odrobienia lekcji, poznaje zasady współżycia społecznego, rozwija uzdolnienia, bawi się i wypoczywa, zje ciepły podwieczorek i dostanie parę złotych na przybory szkolne. Trzeba pamiętać, gdy w programy organizacji, instytucji, towarzystw wpisuje się frazesy o walce z patologiami. Na przykład w programy działalności społeczno-wychowawczej (statutowej) spółdzielczości mieszkaniowej!

Do kuratorskich ośrodków nieletnich kieruje sąd. Sąd pokrywa też wszelkie koszty związane z utrzymaniem tych placówek i zapewnią kadre. Poza sądem pozostaje podobno tylko problem pomieszczeń. Jak widać „zasadniczy” i nie do rozwiązania w naszym województwie. Być może nie ma powodów do alarmu, ale liczby przerażają. W ubiegłym roku kuratorzy rodziny prowadzili 1399 nadzorów. A mamy w Legnickim tylko 22 kuratorów zawodowych, w tym rodzinnych zaledwie 13. Na jednego kuratora zawodowego rodzinnego przypada średnio 100 spraw. Czy pracują skutecznie i efektywnie? Nawet wsparci oddziałem 437 kuratorów społecznych?

W ośrodku kuratela sądowa nabiera szczególnego wymiaru. Kurator nie tylko bezpośrednio wpływa na podopiecznych, ale również na poprawę ich otoczenia. I to w warunkach naturalnego środowiska nieletniego, co jest równie ważne, o ile nie najważniejsze! Mimo tylu walorów wychowawczych w styczniu 1988 roku w Legnickim pracował tylko jeden jedyny ośrodek. Martwy paragraf, bo martwa rzeczywistość.

Ustawa o postępowaniu w sprawach nieletnich. Komentarz pod redakcją Adama Krukowskiego. Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1984 r.

Tajna operacja „Zula”

Ryszard Adamów

Kiedy obywatel Kajetan B., 36-letni dyplomowany palacz wysokoprężny, bawił w pewnym dolnośląskim rządowym kurorcie dla osób wybranych, nauczył się tam od niejakiego obywatela Mane-Miśka, również kuracjusza rządowego, pewnej nad wyraz pięknej i chwytającej wprost za gołe serce pieśni o miłości, zdradzie i dziłkim zwierzęciu. Polubił obywatel Kajetan B. tę rzewną, wyciskającą słone łzy pieśń.

Całymi godzinami potrafił nucić nieustraszenie: „Ja w miłość nigdy nie wierzę, bo miłość to dzikie zwierzę...” — i szkliskimi oczami wpatrywał się w biejącą lub — zależnie od pory dnia — czerniejącą skrawek nieba za okratowanym oknem. Okratowanym, niestety, albowiem trzeba wiedzieć, że ów rządowy kurort dla wybranych, zwany się oficjalnie Zakładem Karnym w W. i — co za tym idzie — obywatel Kajetan B. bawił w nim niejako wbrew swej woli, odbywając w okratowanym apartamencie numer 213 osiemnastomiesięczną pokutę, którą wyznaczył mu Sąd Rejonowy w P. za tak zwane czynne naruszenie nietykalności cielesnej tatusia. Nie, nie rodzony tatusia, lecz tatusia eks-narzeczonej. Mówiąc po ludzku: obywatel Kajetan B. musiał odklubić półtora roku w kryminale w W. za złamanie niedoszłemu teściowi nosa, trzech zeber, sześciu i prawej nogi pod kolanem. Szczegółem noga nie była wrodzona, lecz aluminiowa, z francuskiej firmy Lamoth, co niewątpliwie sąd wziął pod uwagę ferując wyrok. Pech jednak chciał, że nos, zebera, a nawet sześć, choć sztucznie ułożona, były jak najbardziej autentyczne, tłumaczeniem Kajetana B., że jakoby był przekonany, iż pozostałe narzędzia są również nabyte w „Pewexie” za dolary, sąd nie dał wiary. „Pewex” nie prowadził tego rodzaju części zamiennych.

Przez osiemnastę miesiąc siedział se tedy obywatel Kajetan B. na podłodze, opierał plecami o nawilgłą ścianę, cmokał machorkowego skreta i smętnie gapiąc się w osłonięte stalową firanką okno, pośpiewywał wraz z basującym mu obywatelom Mane-Miśkiem o okrutnej miłości — dziłkim zwierzęciu. Nie wiedział bowiem, nieszczęśliwy, że już niedługo przyjdzie mu stanąć oko w oko z owym strasznym zwierzęciem.

W piątek, 18 września ubiegłego roku, obywatel Kajetan B. odpokutował wreszcie to, co miał przepisane do odpokutowania i serdecznie żegnany przez wygalowany personel oraz kumpła spod celi, obywatela Mane-Miśka, któremu do odsiadki pozostał raptem tydzień z hakiem, opuścił kryminal i udał się do miejsca zamieszkania, czyli do miasta P. Zaraz też, bo już w poniedziałek, zgłosił się do dawnego zakładu pracy i — ponieważ zakład nie robił trudności — objął w charakterze starszego łopatowego swój, czasowo opuszczony, posterunek przy piecu wysokoprężnym numer dwa bis. I zaraz też stwierdził, że dach jego chałupy uległ poważnej dewastacji i niekiedy — ale, przynajmniej trzeba, tylko w czasie deszczu — przepuszcza wodę deszczową. No cóż, dziura w dachu, to ostatecznie żadne nieszczęście, pomyślał w swej wielkiej naiwności obywatel Kajetan B. — i od ręki machnął podanie o opapienie dachu do odpowiedniego urzędu, ściślej: do Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w P. A machnawszy postanowił wręczyć osobiście owo podanie kierownikowi wydziału; osobiście kierownikowi, gdyż tylko to mogło stanowić, że podanie nie utonie w powodzi innych papierków i zostanie szybko i rzetelnie rozpatrzone. Tak myślał, tak nad wyraz naiwnie myślał obywatel Kajetan B., 36-letni palacz wysokoprężny, człek był, który, jak to się mówi, z niejednego pieca chleb jadł. I istotnie jadł, jadł z niejednego, ale — jak dotychczas — nie z urzędniczo-biurokratycznego; to gorzkie doświadczenie było dopiero przed nim.

Kopa, rzecz można, dostał zaraz na wstępie, bo kiedy zjawił się w urzędzie mieszkaniowym, powiedział o co mu chodzi i zapytał o kierownika, sekretarkę, mocno piersiastą i postawna szatyną pod czterdziestkę, zrobiła wielkie oczy, spojrzała na niego tymi oczami jak na wariata, jakby, dajmy na to, pytał o Ojca Świętego — i zgorzsona oznajmiła, że przecież pan kierownik nie ma głowy do tego rodzaju błahostek i nie będzie raczył zająć się osobiście taką sprawą, ale gdyby nawet zdarzył się cud i raczył zechcieć, to i tak nie z tego, gdyż byłby na miasto liczyć ławki publiczne, które właśnie zostały przebranzonowane i zgodnie z podjętą w tym temacie decyzją nie podlegają już ziele-

ni miejskiej, lecz gospodarce komunalnej. Niechże tedy on, obywatel — pentent, złoży swą prośbę na jej biurku i kamieniem czeka cierpliwie na decyzję, którą, być może, otrzyma jeszcze pod koniec bieżącego kwartału. Oczywiście, jak dobrze pójdzie, to znaczy: jeśli zdoła zebrać się odpowiednia komisja szacunkowo-dachowa.

Obywatel Kajetan B. odparł, że nie, nie złoży. Co zaś do czekania, to ma czas, poczeka osobiście — i usiadł na krześle, wyjął z teczki „Konkrety” i zaczął rozglądać się krzyżówkę. Czekał do szesnastej, to jest do zamknięcia urzędu. Czekał na próżno, ponieważ kierownik się nie zjawił, wciąż gdzieś tam zapewne pilnie licząc ławki. Najazwyczaj sprawa się powtórzyła — kierownik wciąż liczył ławki. Za dwa dni to samo, choć — być może — kierownik przestał już liczyć ławki, a zaczął liczyć dachy. Obywatel Kajetan B. zaparł się w sobie, skamieniał w uporze, nie ustępował. Dzień w dzień zjawiał się w sekretariacie urzędu mieszkaniowego, siadał na krześle, rozkładał gazetę — i czekał; w nocy posterunkował przy tym swoim wysokoprężnym dwa bis, w dzień czekał. Postawna sekretarka, zrazu nastawiona do niego wrogo, wprost wilczyło, z czasem zaczęła traktować go życzliwie, jak starego znajomego; raz czy dwa poczęstowała go nawet herbatą. Wreszcie po tygodniu i trzech dniach słowo stało się ciałem i zasiadło w osobie kierownika za urzędowym biurkiem; obywatel Kajetan B. mógł w końcu wręczyć swą petycję. I tu o mało nie doszło do nieszczęścia. Kierownik bowiem usłysawszy, że o dziurę w dachu chodzi, odwrócił się, że to sprawa nie jego, lecz administracji domów. I już — już chciał przegnać obywatela Kajetana B. w kibinimater, — kiedy nagle zerknął w podanie i zmienił zdanie. Owszem, oświadczył, sprawa jest jednak w jego, kierownika, gestii. Nie, bynajmniej nie z powodu dziury w dachu, on pluje na wszystkie dziury, jest w jego gestii dlatego, że dom, w którym zamieszkuje Kajetan B., czarna ruina nie dom, jest przeznaczony w najbliższym czasie do rozbiórki. W związku z czym on, Kajetan B., winien złożyć na jego, kierownika, ręce odpowiednio umotywowane i opłacone znaczkami skarbowymi podanie o przydział nowego lokum.

No i znów zaczęły się codzienne wędrowki obywatela Kajetana B. do urzędu mieszkaniowego, bo pan kierownik stał się znów nieuchwytny. Za to zawsze uchwytne postawna sekretarka zmieniła całkowicie front, witała go przyjaznym, miłym uśmiechem, pudrowała dla niego nos, zwracała się do niego „drogi panie Kaju”, a nawet zażądała stanowczo, by mówił do niej „Zula”, jako że na chrzcie dano jej na imię Zuzanna i tak właśnie — Zula — kiedyś wabiła ją śp. mamusia. Obywatel Kajetan B. nie miał nie przeciwko temu, gdyż szczerze mówiąc podobała mu się piersiasta sekretarka. I to tak bardzo podobała, że pewnego dnia zaprosił ją na kawę. Oczywiście prócz kawy był jeszcze koniak, i wino było, i — a jakże! — wyznania miłosne były, i — choć nieco później — był skrzyjący tapczanik w chałupie obywatela Kajetana B., na którym to tapczaniku czynem — trzykrotnym, nawiasem mówiąc — przypieczętowali i utrwaliли swą dożgonną miłość.

I tak oto, w taki arcyprosty sposób, obywatel Kajetan B. przeistoczył się na krótko w „drogiego pana Kaja”, stał się rychło „kochanym Kajem”. A skoro już się stał, to ukochana Zula zaraz otworzyła przed nim duszę. To znaczy wyznała, że ona, Zula, nie jest, niestety, cnotliwa, co zapewne on, kochany Kaju, zauważył, a nie jest, ponieważ już raz kochała, męża mianowicie, muzyka z zawodu, a szubrawca po linii sumienia, który w ramach pomocy dla trzeciego świata, wyjechał do Kamerunu uczyć Murzynów gry na akordeonie i nie wrócił, wybraawszy wolność z pewną Pigmajką z plemienia Babinga. Tedy ona, Zula, choć formalnie nie ma jeszcze rozwodu, jest zupełnie wolna i całkowicie do jego, Kaja, dyspozycji. Niechże tedy nią, dysponuje ile tylko dusza zapagnie i sił starczy.

No i Kaju zadysponował, dwa razy zaledwie — i się rozstali, bo choć dusza, owszem, pragnęła, na więcej sił nie starczyło.

Gorący płomień uczucia do Zuli nie przysiał, rzecz jasna, chęci otrzymania nowego lokum. Kajetan B. podjął swe codzienne wędrowki do urzędu mieszkaniowego. Tym razem miał więcej szczęścia, bo już za trzecim razem zetknął się na korytarzu nos w nos z kie-

rownikiem i wręczył mu mocno umotywowane i równie mocno ostepiowane znaczkami podanie. Kierownik podanie przyjął i kazał mu przyjść za tydzień po decyzję. Kajetan B. podziękował, obiecał, że z całą pewnością przyjdzie, grzecznie pożegnał pana kierownika. No i oczywiście przyszedł. Przyszedł i natychmiast po minie Zuli skapował, że coś tu nie gra. I istotnie nie grało: za jakieś szwindle mieszkaniowe na kierownika położył rękę prokurator. A wydział bez kierownika, to żaden wydział i nic — ni papierek, ni podanie, ni pismo okólne, ni nawet zwykły grafik — nic nie mogło bez niego nabrać mocy urzędowej. No i zrozpaczony obywatel Kajetan B. rad nierał musiał cierpliwie czekać aż mianują nowego kierownika. Czekal zatem, ale czekał, powiedział można, czynnie, albowiem często, niemal co dnia, gnany coraz bardziej gorącą miłością ku Zuli, zjawiał się w urzędzie. Jego wysoka postać była już tak znana, że co młodszy referent z innych wydziałów kłaniał mu się z szacunkiem, biorąc go za jakiegoś ważnego naczelnika. Zula promieniała, raz po raz nadstawiała swe gorące usta do całowania, całowała jego gorące usta, szeptała: kocham, kocham, och, kocham, bardzo Kaja kocham! Niekiedy zostawiała go samego na swym urzędowym gospodarstwie i udawała się na drugie śniadanie do mieszczącego się na parterze bufetu. Wtedy Kajetan B., starszy łopatowy, siadał za biurkiem, kładł przed sobą długopis i pieczęć urzędu — i przez pół godziny, tj. do powrotu Zuli, czuł się naprawdę jak wszechmocny kierownik lokalowy. Pewnego dnia, kiedy tak właśnie siedział w pozycji kierownika, wpadł do urzędu wariat, chwycił go za rękę, zaczął za coś gorąco dziękować, a potem postawił na biurku dwie pekate butelki francuskiej brandy Emile Marcel i równie nagle, jak wpadł — wypadł. Zdumiony Kajetan B. dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że wariat nie był absolutnie wariatem, tylko uszczęśliwionym i wdzięcznym petentem, któremu urząd coś tam zalał. I zdziwił się jeszcze bardziej, że ten urząd jest jednak w stanie w ogóle komuś cokolwiek zalać. Potem przestał się dziwić, boć cuda zdarzają się wszędzie, schował butelki do teczki i skromnie usiadł na krześle pod ścianą; ukochanej nie wspominał słowem o podarowanej mu przez wariata brandy.

Wspomniał za to kumpłowi z kurortu, Mane-Miśkowi, który zdążył już odsiedzieć wyrok i zjechał biwakować w jego dziurawej chałupce. Obywatela Mane-Miśka bardzo zainteresował incydent z petentem — wariatem, zaczął więc wypyttywać o szczegóły. Kiedy dowiedział się, że ostatnio Zula co dzień schodzi do bufetu na drugie śniadanie i Kajetan B. co dzień przez pół godziny niby to kierownikuje biurem, zatarł ręce i oświadczył, że ma genialny pomysł, pomysł na zarobienie szybko i bezpiecznie grubego smażu. A pomysł ten polega na tym, że pod nieobecność Zuli, on, Mane-Miśku, wślizgnie się mianowicie do gabinetu kierownika i będzie nieczym prawdziwy pan kierownik komenderował, to znaczy przyjmował petentów, pieczętował podanie, składał podpisy, wydawał zaświadczenia i zezwolenia; wszystko szybko i bez zgrzytu, od ręki i oczywiście za odpowiednim ekwiwalentem w walucie krajowej, bądź wymiennej. Cała operacja — czy raczej, jak dobrze pójdzie, operacja, bo numer będzie można odstawić kilkakrotnie — otóż cała operacja musi być, rzecz prosta, przeprowadzona między godziną jedenastą a jedenastą trzydziestą, gdy Zula będzie w bufecie ciamkać śniadanie.

Pomysł obywatela Mane-Miśka nie wydał się jednak obywatelowi Kajetanowi B. zbyt genialny. Bo, na ten przykład dając, skąd wezmą o tak ściśle określonej porze klientów i to klientów gotowych od razu smarować, żeby jeść? Klienci to frajer, odparł obywatel Mane-Miśku, gdyż zna on pewnego lacha imieniem Mikołaj, który od dawna coś tam nielegalnie kombinuje w branży mieszkaniowej. I ten właśnie lach, Mikołaj, za parę groszy będzie im naganił petentów — reflektantów mieszkaniowych — punktualnych i już odpowiednio uświadomionych, a — propono smarowania.

To już brzmiało całkiem rozsądnie i obiecująco. Kajetan B. zapytał więc kumpła, jaka jest jego, Kajetana, w tym rola. Obywatel Mane-Miśku wyjaśnił, że żadna. Kajetan B. ma tylko siedzieć w sekretariacie i ewentualnie rozwiązywać krzyżówki, co — gdyby się heca wydała — absolutnie zabezpiecza jego niewinność: wszak nie jest osobą związaną zawodowo z biurem i za Boga Ojca nie może wiedzieć, kogo aktualnie wyznaczyła władza do szefowania. A wyznaczyć mogła diabli wiedzą kogo, czyli każdego. Słusznie, zgodził się z tym wywodem Kajetan B. — i panowie przystąpili do szczegółowego opracowania planu ściśle tajnej operacji „Zula”, „Zula”, bo w ten właśnie sposób Kajetan B. chciał uciec ukochaną istotę.

Pierwszy występ spółki mieszkaniowej obywateli Mane-Miśka, Kajetana B. i lachmyty Mikołaja miał miejsce trzydziestego października ubiegłego roku i, trzeba przyznać, wypadł bardzo pomyślnie. Spółka obsłużyła w ciągu niespełna pół godziny czterech petentów i zagarnęła na czysto osiemdziesiąt tysięcy złotych. Drugi, w trzy dni później, wypadł mniej udanie: spółka zdołała zachapać tylko dwadzieścia i pięć tysięcy. Do trzeciego występu nie doszło. W tym czasie bowiem uległ gwałtownemu zepsuciu stosunki na linii Zula — Kaju. Zula przestała całować, nie nadstawiała swych karminowych ust do całowania, nie szeptała gorąco „kocham”, ba, stała się jakaś oficjalna, niemal obca. I to tak obca, że w ogóle nie dawała się Kajetanowi B. dotknąć, nie mówiąc już o bardziej konkretnych pieszczotach. Wciąż palający przepiękny uczuciem, Kajetan B. chodził przez kilka dni jak struty, gryzł paznokcie, pił tylko wodę i nie jadł mięsa. Potem spadł na niego grom z jasnego nieba. Ukochana Zula oświadczyła bowiem, że mąż — muzyk rzucił garbatą Pigmajkę i wraz z ciężko zapracowanymi dolarami powrócił na jej, Zuli, łono. I to łono wybaczyło mu wszystkie grzechy, przyjęło go i ukoilo na wiek wieków. Amen.

Zakochany Kajetan B. nie chciał, ma się rozumieć, przyjąć tego oświadczenia do wiadomości. Zaczął więc wpięć prosić Zulę o zmianę poglądów, potem, gdy to nie pomogło, grozić, wreszcie straszyc szczyrymiem sprężynowym i napomyskać coś o obnażeniu jelit. Wtedy zdeterminowana Zula nie zdrzygnęła, pobięła na milicję i powiedziała, co wiedziała, o spółce mieszkaniowej obywateli Mane-Miśka, Kajetana B. i lachmyty Mikołaja. Powiedziała, co wiedziała, a wiedziała wiele, gdyż niedługo przedtem, ale jeszcze w okresie kwitnącej miłości, Kajetan B. ujawnił jej w chwili intymnego zbliżenia plany ściśle tajnej operacji „Zula”. Rychło zatem obywateli wspólnicy znaleźli się znów w rządowym kurorcie na państwowym wikcie i opierunku.

Miłość, proszę państwa, zwłaszcza miłość wygłasza, to jednak dzikie zwierzę. Zapomniał o tym, niestety, Kajetan B., starszy łopatowy. Zapomniał i teraz ma za swoje.

TO JUŻ CZWARTY KLIENT. RAZEM BĘDZIE OSIEMDZIESIAT PATOLI!



Dietetycy, powiadają, że jedzenie najlepiej przetrwać w momencie, gdy człowiek już jest najedzony, ale jeszcze odczuwa lekki niedosyt. Innymi słowy najgorzej się przejeść.

Najwyraźniej dostrzec tę prawdę można właśnie przy konsumpcji ulubionego przysmaku, ale przecież jest mnóstwo dziedzin gdzie ona się przynajmniej

Starsi czytelnicy pamiętają zapewne słynną parę lyżwiarzy figurowych — o nazwiska mniejsza, bo nie o nie tu chodzi — mistrzów wszystkich możliwych imprez od mistrzostwa kraju aż po wielokrotne mistrzostwo świata. I oto nastał dla nich foka dramatyczny. Co zawody to klapa. I tak w ciągu kilku zaledwie miesięcy przysnął mit „Niezwykłych”. Może dlatego cenię sobie obietnicę Katherine Witt, która w pełni chwały postanowiła się wycofać ze sportu. Jeszcze tylko nasza mistrzyni Europy chce sięgnąć po laury olimpijskie i mistrzostwo świata, co może jej się udać, bo jest w świetnej formie.

Oto sedno sprawy — odejść gdy się jest najlepszym. Gdy wszyscy są przekonani, że po odejściu powstanie luka nie do załatania.

Co to ma wspólnego z muzyką? Oczywiście, że ma, bo świat obiegła sensacyjna informacja, że „babcia” Tina Turner podczas niedawnego koncertu na stadionie Maracana, dla... stutysięcznej publiczności ogłosiła, iż jest to jej ostatni koncert.

Rzecz dosyć charakterystyczna: w muzyce rozrywkowej już po wielokroć zdarzały się takie komunikaty. Do bardziej znanych należy wypowiedź Little Richarda, czarnego wokalisty rock’n’rollowego, który ogłosił, że — uważa — rock jest muzyką szatana i on, Little Richard się jej wyrzeka. A dobrze nam znany z jak najlepszej strony Chiff Richard parokrotnie zamierzał zostać pastorem.

Oba przypadki są o tyle charakterystyczne, że podobne komunikaty dawniej zbiegały się ze znacznym spadkiem popularności. Czytelnicy wiedzą, że w przypadku Cliffa ow, chwyt reklamowy (bo co by innego?) nie stworzył poważniejszych problemów, z powrotem na scenę i to powrotem, triumfalnym. Ale Little Richard już nigdy się nie podniósł, choć po jakimś czasie uznał, że jednak szatan z rockiem niewiele ma wspólnego.

O ile oba przykłady są jedynie sposobem gry o utrzymanie się na powierzchni, to przecież bywały odejścia o posmaku co najmniej przykrym, jeżeli nie skandalizującym. Najstojniejsze przykłady to ABBA i — zwłaszcza — The BEATLES, gdy okazało się, że wspólna czwórka z Liverpoolu już nie jest grupą znakomitych kumpli i na dodatek ma poważne kłopoty finansowe, spowodowane nierozważnym dysponowaniem ogromnymi przecież kwotami. Jakby tego było mało, to jeszcze wplątała się w to wszystko Yoko Ono, o której najważniejsze źródła powiadają, że była głównym powodem rozdźwięków między McCartneym a Lennonem. (Gdzie diabeł nie może...) Było to więc odejście połączone z ogłuszającym skandalem, roznoszącym w strzępy legendę o czwórce nierozłącznych i wiernych sobie przyjaciół.

Bywa też inaczej. Artysta wielbiony i hołubiony przez tysiące i setki tysięcy po prostu gdzieś znika. Był człowiek, nie ma człowieka. Przyczyn można wyliczyć parę: bywa tak, że artysta rozbłyskuje jak meteor jedną, jedyną piosenką. Tak było ze słynnym hymnem „hippiesowskim” pt. „San Francisco” jego wykonawcy po prostu nie starczyło już pary na następny przebieg (choć usiłował). Zdarza się również, że — jakże prozaicznie — brakuje pieniędzy „na inwestycje”, czyli szczególnie na reklamę. To zjawisko obserwuje się zwłaszcza w momencie pokoleniowej zmiany warty. Może to niezbyt sprawiedliwe, bo odbywa się pod hasłem „mamuty na odstrzał”, ale codzienne doświadczenie, także i polskie potwierdza, że tak właśnie jest.

Jeżeli jesteśmy przy mamutach. Po jakimś czasie (10–15 lat) mamuty wyjmują się z szafy, starannie odkurza i prezentuje równie mamucie, ale sentymentalnej publiczności. Przykład dobny, sopockie koncerty dinozaurów. Ale ten sam mechanizm obserwuje się na całym świecie. Związana od kilku lat reanimuje się zarówno stare przeboje jak i starych wykonawców. Ostatnio reanimowano np. The MONKEES, URIAH HEEP czy STATUS QUO. Ale

— widz oczekuje, od nich by grali „tak jak to ongiś bywało”. Sprawa to niekiedy, wrażenie dosyć żalostne. Oglądając video z koncertów prekursora rock and rolla lat 50. Billa Haleya, dokonanych na początku lat siedemdziesiątych. Proszę mi wierzyć, oglądało się to z dużą przykrością.

Jak na tym tle wygląda „babcia” Tina Turner? Dla mnie jest to fenomen. Podbiła serca nastolatków generacji

I tu wracam do naszych lyżwiarzy figurowych. Czy „babcia” może jeszcze osiągnąć coś więcej nad to, co już zdobyła? Szczególnie, gdy okazuje się, że jej popularność mierzona obecnością na listach przebojów i skalą masowych koncertów oraz nakładów płyt, zdaje się być nieporównywalnie wyższa niż dwadzieścia lat temu?

Wydaje się, że nie ma nic piękniejszego, niż odejść w pełni chwały, żeby wszyscy zadawali sobie to pytanie: dlaczego? Ano dlatego, że dalej może być

Odejść???

Jerzy J. Kaczmarek



hippiesowskiej. Potem na lat kilka zniknęła ze sceny, by eksplodować (nie ma lepszego słowa na jej come back) w latach osiemdziesiątych.

Zauważmy rzecz arcyistotną: „babcia” nie poszła na reanimowanie starych sentymentów. Przecież to takie proste: odgrzać „Greatest Hits”, z okresu gdy śpiewała z Ike Turnerem. A ona nie! Poprosiła do współpracy twórców niekiedy o połowę od siebie młodszych i takich samych muzyków. Tak oto połączony został profesjonalizm wykonawcy najwyższej próby z młodzieńczym entuzjazmem (nawiasem mówiąc, śmiechy mnie ogromnie, gdy ktoś mówi o „muzyce młodzieżowej”).

przepaść. Również dlatego, by uniknąć westchnień ulgi, nareszcie odeszła!

Coż, laska pańska na pstrym koniu jeździ. Z równą łatwością pada na kolana jak i boleśnie kopie i odtrąca. Nie powiem bym się cieszył z tego komunikatu ze stadionu „Maracana” i ludzie się, że „babcia”, jak każda baba, niezbyt dokładnie wie co mówi (elegancko wyrażę to samo mówiąc: „kobieta zmienna jest”).

Ale też może ona ma rację? Odejść z godnością, zostawiając coś po sobie. Iuż ludzi marzy o tym nadaremnie?

Wiadomości Legnickie

sprzed lat

BRONA

Proponujemy Okręgowemu Zarządowi PGR — by porzuconą na obsianym polu broną traktorową wycesał głowę kierownikowi PGR w Mikołajowicach.

NASZ „ELEK”

Długi już okres dzieli nas od zakończenia VII Wyścigu Pokoju Warszawa — Berlin — Praga, w którym wyróżniła się drużyna polska, a wśród niej nasz najmłodszy zawodnik Elek Grabowski.

Warto wspomnieć o nim choćby dlatego, że swą karierę kolarską rozpoczął w naszym mieście, w barwach KS „Włóknarz”. Chcąc wybić się na wyżyny naszego sportu polskiego, trzeba rozpocząć od koła sportowego i przy uciążliwym treningu wspinać się po drabinie osiągnięć do kadry narodowej.

Tak robił Elek, wyprzedzając swych kolegów Szwaka, Sondla, Englarda, Swierkowskiego.

Za to, że nasz Elek Grabowski pierwszy przyjechał na lotnym finiszu w Legnicy, dziękują mu legniczanie i starzy koledzy z treningów oraz szkoły ćwiczeń, do której uczęszczał.

(Nr 1, 1–15 lipca 1954 r.)

WALCZYMY Z CHULIGANSTWEM

(...) Jak całe społeczeństwo naszego kraju, tak i legniczanie potępiają chuligańskie wybruki, jakie się rozpanoszyły na terenie naszego miasta. Spotykamy tu chuliganów nie tylko wyróżniających się typowym strojem i uczesaniem w „mandolinke”, ale również urządzających bójki, połączonych z używaniem obelżywych słów i zakłócaniem spokoju. (...)

(...) Następnie staje ob. (...), 28 lat, robotnik Spółdzielni Pracy „Przeladunek”, żonaty, ma na utrzymaniu jedno małe dziecko, zarabia średnio zł 1200. — Obwiniony o to, że dnia 11 bm. około godz. 23–24 upił się do nieprzytomności i leżał w bramie, a uprzednio zaś wywołał awanturę przy ul. Wrocławskiej.

W toku rozprawy dowiadujemy się, że po odebraniu wypłaty, zamiast pójść do domu, udał się z kolegami na wódkę, gdzie część poborów przepił, a pozostałe zł 640 zabrali mu koledzy.

Kolegium wymierza mu słuszną karę 3 tygodnie pracy poprawczej.

Tak więc pokazowe rozprawy wskazują ludziom drogę do poprawy, do normalnego trybu życia (...).

(Nr 1, 1–15 lipca 1954 r.)

PRZODUJĄCY KOMBAJNER

Przodujący kombajner PGR w Rosochacie, pow. Legnica, ob. Jan Blicharz, podjął dla uczczenia 10-lecia Polskiej Ludowej piękne zobowiązanie: zobowiązał się w czasie akcji żniwnej przy pomocy potężnego kombajnu, który obsługuje, wykosić zamiast 150 zaplanowanych hektarów zbóż — 300 hektarów, zaoszczędzając przy tym 3 kg paliwa na hektarze.

Kombajner Jan Blicharz wzywa kombajnery naszego województwa, by poszli w jego ślady.

(Nr 2, 1–15 sierpnia 1954 r.)

ZAOPATRZENIE SKLEPÓW KULEJE

Sklepy gromadzkie na terenie gminy Legnickie Pole nie są należycie zaopatrzone w artykuły pierwszej potrzeby. Brak tu jest takich artykułów, jak kielbasa, bułki, piwo i inne. Robotnik chcąc kupić kielbasy, musi iść kilka kilometrów (...).

(Nr 2, 1–15 sierpnia 1954 r.)

DOBRA RADA

Wydziałowi Komunikacji PRN w Legnicy radzimy zaopatrzyć się w podręcznik budowy mostów, z którego dowie się, że brygady budujące most na Kaczawie koło Duninowa w gminie Krotoszyce potrzebują do swoich prac takich narzędzi, jak siekiery i piły.

(Nr 2, 1–15 sierpnia 1954 r.)

W zawieszeniu

Zbigniew Jastrubowski

Legnicki Klub Karate działa dwa lata. Jak na klub sportowy warunki lokalowe ma skromne: ciasny pokój przy ul. Roosevelta służący za pomieszczenie administracji klubowej, treningi odbywają się w wynajmowanej sali gimnastycznej przy ul. Murarskiej. Nie byłoby to najgorsze rozwiązanie, ale karatecy wpuszczani są tam wyłącznie późnym wieczorem i rzecz jasna — nie za darmo. Nie więc dziwnego, że następny Bruce'a Lee zaczęli na własną rękę szukać lokalu, który dałoby się niewielkim nakładem sił i środków adaptować na potrzeby klubu. Prawie roczne wysiłki po zakamarkach stolicy województwa przyniosło oczekiwane efekty.

Andrzej Kaczkowski, wiceprezes ds. organizacyjnych LKK znalazł pomieszczenie przy ul. Moniuszki. Kiedyś mieściła się tam kotłownia, a ostatnio była to przechowalnia okolicznych pijaków. Wstępna ekspertyza nie nastrajała zbyt optymistycznie. Lokal nadawał się do kapitalnego remontu, a nie do niewielkich prac adaptacyjnych, jak pierwotnie sądzono. Ale karatecy postanowili doprowadzić sprawę do pomyślnego finału.

Na pierwszy ogień poszło Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej, którego kierownictwo formalnie oświadczyło, że nie stawia żadnych przeszkód w kwestii zagospodarowania przez LKK pomieszczeń po byłej kotłowni. Jedynym warunkiem było zalecenie oddzielenia woda ciepłowniczego od reszty pomieszczeń w sposób uniemożliwiający dostęp do węża osobom postronnym, gdyż chodziło o bezpieczeństwo ćwiczących i zapewnienie ciągłości sprawnego działania ciepłowniczego urządzenia bez konieczności przemyślowego wyłączenia go z użytku. Konkretne chodziło o zamurowanie drzwi między węzłem i pomieszczeniem kotłowni. Decyzja zapadła. Pierwsze podeszły zakończyły się sukcesem.

Właścicielem budynku jest Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej i działacze klubu karate zwrócili się do dyrekcji o wyrażenie zgody na zajęcie piwnicy. Szefowie firmy z pewnością zafascynowani filmami z Bruce'em Lee nie stwarzali problemów. Specjalnie w tym celu powołana komisja pofatygowwała się do piwnicy, by stwierdzić, że powierzchnia dawnej kotłowni wynosi 140 m kw., a całość prac adaptacyjnych musi wykonać nowy użytkownik. Jedynym warunkiem była konieczność skonsultowania projektu adaptacji z zarządcą gmachu. Po uzgodnieniu najdrobniejszych kwestii, dyrektor PGM (wówczas, tj. w styczniu 1986 roku) zwrócił się do Wydziału Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego z wnioskiem o przekazanie pomieszczeń po dawnej kotłowni Legnickiemu Klubowi Karate.

Na ostateczną decyzję władz miejskich czekano z niepokojem, chociaż Krzysztof Kalinka, kierujący miejską kulturą fizyczną przekonywał, że wszystko będzie w porządku. I tak też się stało. Trzeciego lutego 1986 r. kierownik „lokalówki” wydał decyzję o przydzieleniu piwnicy przy Moniuszki klubowi. Lokal został przeznaczony na działalność rekreacyjną i sportową. Zgodnie z formalnymi wymogami od tej decyzji przysługiwało prawo odwołania w ciągu 14 dni. Ale, że nie takiego nie nastąpiło, decyzja uprawomocniła się.

Pomyślnie zakończenie rokowań ucieszyło legnickich karateków. Sportowcy zyskiwali nie tylko pod względem sportowym. Przede wszystkim poważnie można było pomyśleć o rozwoju działalności gospodarczej. Po wstępnych rozrachunkach liczone na uruchomienie punktu sprzedaży pamiątek sportowych, tj. odznak i proporczyków. Zamierzano także uruchomić zakład usług remontowych. Zarabianie na sobie nie jest czymś wyjątkowym w życiorysie karateków znad Kaczawy. Bardzo często wspomagają służby komunalne w pracach porządkowych, w ubiegłym roku sadząc drzewka zarobili 300 tys. zł. Jedynym słowem nie czekają na gotowe.

W ramach myślenia kategoriami II etapu reformy postanowili, że w pomieszczeniach piwnicznych znajdą się miejsca nie tylko dla amatorów mistrzowskich uderzeń. W planie mieli także uruchomienie klubu kulturalistycznego i sekcji gimnastyki korekcyjnej.

140 m kw. można zagospodarować z pożytkiem dla jak największej liczby chętnych. Karatecy wysuplali ostatnie grosze, skubnęli trochę od Kalinki i zlecieli zaprojektowanie wnętrza piwnicznych.

Od czerwca 1986 roku, tj. od momentu zrealizowania projektu, w piwnicy przy Moniuszki nic się nie zmieniło. Cisza trwała do października roku ubiegłego. Od kierownika Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Miejskiego otrzymali pismo następującej treści:

„W związku ze stwierdzeniem braku zagospodarowania pomieszczeń po składowaniu opalu zlikwidowanej kotłowni przy ul. Moniuszki 3 przez Legnicki Klub Karate oraz dopuszczenia przez ww. do dewastacji pomieszczeń i rażących zaniedbań w utrzymaniu porządku, wnioskuję o uchylenie z dniem 30 października br. decyzji przekazującej lokal LKK oraz wnioskuję o przekazanie go dla Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej z przeznaczeniem na magazyn rzeczy eksmitowanych”.

Trudno przy tym pominąć pewien drobny szczegół, że wniosek o uchylenie decyzji z dniem 30 datowany jest... też 30 października. A gdzie czas na odwołanie? Co było powodem takiej decyzji? Okazuje się, że do piwnicy trafiła komisja działająca w ramach akcji „Posesja”. Nie wnioskując w szczególności, stwierdzono totalny bałagan i po ustaleniu właściciela pomieszczeń, wystąpiono z wnioskiem o eksmisję. Ponieważ w szufladzie Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej i Komunalnej UM leżał wniosek PGM-u o przyznanie lokalu, więc... stało się.

Karatecy, co zrozumiale, poczuli się wykiwani i nie kryli żalu do władz miejskich. Czy jednak mieli rację?

— Zaczniemy od tego, że stanęliśmy przed szansą posiadania własnej hali ja-

ko jeden z nielicznych klubów karate przekonuje prezes Kaczkowski. — Jeżeli trochę po kraju i wiem, że podobne kluby najczęściej wynajmują szkolne sale i to w późnych godzinach wieczornych. W Legnicy karate jest dopiero na dorobku, a już pojawiła się szansa posiadania własnej bazy sportowej. I nie tylko, bo klub ma także służyć szeroko pojmowanej rekreacji i nadszej działalności gospodarczej. Było więc o co walczyć. Zarzut, że zadowoliliśmy się samym faktem przyznania lokalu jest bezpodstawny. Piwnicę uporządkowaliśmy. Reszta prac nosiła charakter specjalistycznych robót i potrzebny był projekt. Zakładaliśmy, że będziemy w jego posiadaniu za około pół roku. Niestety, po tym czasie uzyskaliśmy tylko informację, że w Legnicy nie można go opracować. Stąd nasza obecność we wrocławskim biurze projektów. Tam nie wmawiali nam, że niedługo to potrwa, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Postronnie osoby może szokować taki długi okres „bezczynności”. Oczywiście, może ktoś nam zarzucić, że mimo wszystko mogliśmy przystąpić do prac nie wymagających projektu. To prawda, ale... Na przeszkodzie stanęły wody podskórne, które systematycznie zalewały piwnicę. Mogliśmy wybielić piwnicę, założyć parkiet, ale jaki miałoby to sens, gdyby trzeba było po jakimś czasie robić wszystko od nowa? Jesteśmy klubem samofinansującym się i nie możemy pozwolić sobie na wyrzucenie złotówek w przysłowiowe błoto...

Kaczkowski nie ukrywa, że nie byłoby sprawy, gdyby komisja przed wydaniem decyzji skonsultowała się z LKK. Nie byłoby tego całego zamieszania.

Projekt nadszedł w połowie grudnia. Na jego realizację znalazły się pieniądze z budżetu Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego. Od czterech tygodni karatecy remontują piwnicę wykorzystując każdą wolną chwilę. Termin przeprowadzki wyznaczono na czerwiec tego roku. Dobrze samopoczucie karateków zakłóca tylko myśl o nieszczytnym wniosku o uchylenie decyzji przydziału lokalu. Półki co wniosek pozostał tylko wnioskiem, ale niepewność pozostaje. I pomyśleć, że nie byłoby sprawy, gdyby projekt nie był wykonywany przez półtora roku, a legnickim następcem Bruce'a Lee nie zabrakło w najważniejszym momencie organizacyjnej formy...

Jubileusz Budrysów

Oddziałowa Komisja Turystyki, Kolarskiej w Głogowie powstała 20 marca 1957 roku z inspiracji Jana Przewoźnika, a w jej skład wchodził członkowie kola rowerowego Śląsk Głogów. Jesienią 1968 roku na zebraniu wyborczym jednogłośnie powołano do życia Turystyczny Klub Kolarski PTTK Budrys. Dorobek klubu turystyki kolarskiej jest niemały. Wystarczy przyrzeć się corocznej działalności klubu: trzy imprezy wojewódzkie, pięć klubowych, dziesięć sportowo-rekreacyjnych dla mieszkańców Głogowa. W najbliższych planach — obóz wędrowny dla kadry klubu oraz obozy wędrowne dla młodzieży. Niewykluczone, że niektóre z tych imprez wejdą do ogólnopolskiego kalendarza PTTK...

Klub obecnie zrzesza 21 członków, 9 sympatyków i 12 kandydatów i bazyuje na kadrze instruktorskiej składającej się z sześciu przodowników TKol. Taką szeroką działalność Budrysów umożliwia pomoc ze strony Spółdzielni Mieszkaniowej Nadodrza, która udostępniła pomieszczenia piwniczne na siedzibę klubu. Prezesem klubu jest Jerzy Chromiński, sekretarzem Elżbieta Chromińska, skarbnikiem Piotr Bryl, a komisji rewizyjnej szefuje Henryk Chamoń. Jubileusz jubileuszem (były odznaczenia i puchary Nadodrza, ZW PTTK i jednostek nadrzędnych — red.), ale działacze już przygotowują się do organizacji kolejnych imprez, w tym Zimowego Rajdu Fanatyków Turystyki Kolarskiej. Wszystko wskazuje na to, że bilans osiągnięty w następnym 30-leciu będzie równie imponujący co obecny.

(Jaz)

Krótko

● Finał wojewódzkiego turnieju szachowego „Złota Wieża” odbędzie się w dniach 20–21 lutego w ZKTIR „Dziwiarz”. Początek zawodów o godz. 10. Prawo gry mają drużyny, które wygrały eliminacje na szczeblu gminnym.

● W tabeli drugiej ligi szczypiornika nie zaszły poważniejsze zmiany. Liderem nadal jest Miedź, która pokonała na wyjeździe AZS Warszawa 27:15 i uległa 28:30. Drugie miejsce zajmuje Chrobry po niespodziewanym zwycięstwie nad Grunwaldem w Poznaniu 26:25 i porażce 23:24. Tylko Zagłębie we własnej hali pokonało Ogniwo Szczecin 25:17 i 25:16. A już jutro i w niedzielę mecze Miedź — Chrobry w hali przy ul. Żołnierskiej. Dwukrotnemu zwycięzcy spotkań można w zasadzie gratulować już awansu.

● Ogniwo TKKF Start w Polkowicach organizuje 27 i 28 lutego turniej tenisowy o puchar dyrektora SM „Cuprum”. Zawody zostaną rozegrane w salach sportowych szkół nr 3 i 4 w Polkowicach.

● MKS Zagłębie Lubin i Okręgowy Związek Szachowy organizują mistrzostwa województwa dzieci do lat 14. Mistrzostwa zostaną rozegrane 20 lutego o godz. 10 w MDK w Lubinie przy ul. Skłodowskiej 86.

● 7 lutego odbył się w Legnicy I Bieg Wyzwolenia na dystansie 12 km. Organizatorami byli ZW TKKF, Klub Biegaczy Długodystansowego i Urząd Miejski. Startowało 130 amatorów biegania, w tym 5 kobiet. Zwyciężył Igor Jefimow (ZSRR) przed Romualdem Krupnikiem ze Śląska Wrocław i Jackiem Wójcikiem z tego samego klubu. Wśród kobiet triumfowała Ludmiła Miedwie-diewa (ZSRR).

(Jaz)

Łuczniacy na start

Zarząd Sekcji Łuczniczej MOS Legnica organizuje 21 halowe mistrzostwa okręgu w łucznictwie.

Początek zawodów w sobotę 20 bm o godz. 11, a zakończenie zawodów w niedzielę o godz. 15. Miejsce zawodów — kryte tory w Szkole Podstawowej nr 11 przy ul. Radosnej. Wystartuje ok. 150 zawodników z 10 klubów. Zarząd sekcji zaprasza kibiców na mistrzostwa. Wstęp bezpłatny.



Dokładnie rok temu Anna M. — mieszkanka Lubina — powiadomiła (bez zbędnej wiarę zresztą w pozytywne skutki) miejscowy RUSW o tym, że włamano się do jej mieszkania i zabrano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość materialną. Nikt nie spodziewał się wówczas, że materiał dowodowy nie ograniczy się tylko do tego jednego przypadku, że rozrośnie się do kilku tomów, a w umiędzielnionej sieci ci wpadnie ostatecznie 14-osobowa grupa włamywaczy i paserów...

Jak to zwykle w przestępczej grupie bywa, różne były zadania każdego z tej czarnaszkii, a tym samym teraz zróżnicowana czeka ich odpowiedzialność. Bez wątpliwości jednak wszystkich zaczęło się od Łukasza Ł. — 30-letniego mieszkańca Twardogóry, z zawodu ślusarza, nigdzie, oczywiście, nie pracującego, karanego już przez Sąd Rejonowy we Wrocławiu na trzy lata pozbawienia wolności. Otóż właśnie Łukasz Ł. w listopadzie 1986 roku postanowił odwiedzić swego kolegę — Marcina M. — mieszkańca jednej z podbolesławieckich wsi.

29-letni Marcin M. jak najbardziej nadawał się na kolegę Łukasza Ł. Także pracować nie lubił, więc nie pracował. Także był karany przez wrocławski sąd za kradzież, ale przesiedziawszy w więzieniu dwa i pół roku również niczego go nie nauczyły. Słowem — obaj stanowili kliniczny wprost przykład absolutnie nieudanej resocjalizacji. Łatwo można więc odtworzyć przebieg spotkania tak dobranej pary. Doszli do porozumienia niesłychanie szybko — potrzebne są pieniądze, a najprostszym sposobem na ich zdobycie jest kilka włamań. A że najbliższym miastem był Bolesławiec, pojechali więc do Bolesławca.

Spotkali tam wspólnego kumpla — Bronisława B., któremu zwierzyli się z zamiarów. Mało że okazał pełne zrozumienie, ale natychmiast „nadał” im odpowiedni — według niego — adres — mieszkanie swojej byłej żony, dla ułatwienia opisując szczegółowo rodzaj zabezpieczeń, jakimi kobieta odgradziła się od niepożądanych gości... Przy takiej pomocy dostanie się do majątku byłej pani B. stanowiło dziecinną grąszkę. Z łatwością więc radiomagnetofon, skórzany płaszcz, kożuch, kurtka ortalionowa, czterotomowa encyklopedia, 93 tysiące złotych w gotówce i trochę waluty z krajów zaprzyjaźnionych, stały się łupem włamywaczy.

Ze złotówkami, oczywiście, był najmniejszy problem — wystarczyło się nimi podzielić. Nieco gorsza sytuacja była z pozostałymi rzeczami. Od czego jednak pomysłowość i szerokie znajomości?

Łukasz Ł. i Marcin M. przyjeżdżają do Lubina i kierują swe kroki wprost do Antoniego A., który ma podobnie jak oni już porządnie zapaskudzone życiorysy. Karany za rabów na trzy lata, odsiedziawszy swoje, nadal nie zamierzał pracować — chociaż trójka dzieci jeść wołała — a całą energię poświęcał na kombinowanie, balansując tym samym niebezpiecznie na krawędzi prawa. Niespodziewani goście spadli mu jak z nieba. Prędko znalazł kupca na zagraniczną walutę i encyklopedię, a nieco później sprzedał także kożuch. Zaoferował swe usługi i na przyszłość. Prawde mówiąc nie musiał tego robić. I tak wiedzieli przecież, że u Antoniego A. zawsze jest meta jak trzeba.

Po tej udanej transakcji Łukasz Ł. i Marcin M. postanowili odwiedzić w Polkowicach małżeństwo Z. — Alicję i Zbigniewa. Pochwalili się włamaniem i — ma się przecieć ten gest! — w prezencie ofiarowali gościnnym gospodarzom radiomagnetofon...

Ten pierwszy udany skok jakby rozwinął wórek z pomysłami włamań do następnych mieszkań. Tym razem Łukasz Ł. i Marcin M. wyjeżdżają do Jeleniej Góry. Dołączają do nich 29-letni Sebastian J. Tak jak oni nie lubi pracować i nie pracuje. Jak oni — ma za sobą sądowy wyrok za kradzież społecznej własności. Teraz bez najmniejszych oporów włamują się do jednego z jeleniogórskich mieszkań. Łup jest jednak mniejszy niż ich przewidywania. Kradną rzeczy wartości około 150 tysięcy, ale sprzedają je za dwadzieścia.

Zawiedzione nadszanie postanawiają zrehabilitować sobie gdzie indziej. 8 grudnia są w Piotrkowie Trybunalskim. Stają przed upatrzonymi drzwiami. Ku ich zaskoczeniu, po uderzeniu wkładki patentowej, włącza się sygnał alarmowy. Uciekają w popłochu i tylko ogarnia ich beznadziejna złość na myśl, co mogło się kryć za tymi tak dobrze strzeżonymi drzwiami.

Ow. alarm, oczywiście, nie jest dla nich żadnym ostrzeżeniem. Na wszelki

wypadek zmieniają tylko miejsce akcji. Tym razem obierają kierunek na Górny Śląsk. Mają tam zresztą krewniaków i przyjaciół.

Już następnego dnia po nieudanej akcji w Piotrkowie włamują się do mieszkania w Rybniku. Nie gardzą niczym. Kontentują się nawet (obok kożucha i kalkulatorów) męską bielizną i wiecznym piórem zagranicznej marki. Właściciel oceni później powstałą szkodę na blisko 300 tysięcy złotych. Dla nich jest to jednak wyraźnie nieudany skok. Tego samego więc dnia „odwiedzają” w Rybniku drugie mieszkanie, z jeszcze bardziej mizernym skutkiem. Natychmiast jadą więc do Żar i dokonują następnego włamania. Wychodzą bogatsi o kożuch, kurtkę, magnetofon, namiot, zegarek, spodnie, rękawiczki skórzane. Zabierają nawet młynek do kawy (pójdzie, bo na rynku brakuje). Nie gardzą także książkami — zdają sobie sprawę, że jest to towar w dzisiejszych czasach łatwy i chodliwy. Zachłanne ręce zabierają więc „Kuchnię polską” i „Encyklopedię”.



Szajka

Anna Borska

Z Żar kierunek wiedzie wprost do Polkowic, gdzie Zbigniew Z. kupuje od nich wszystko za 120 tysięcy. Po kilku dniach odpoczynku wracają na Górny Śląsk. Tym razem ukręcają wkładkę patentową w jednym z mieszkań w Jastrzębiu. I znów kożuch, skórzany portfel, rękawiczki, a także „Encyklopedia” i... Pismo Święte zmieniają właściciela. Łup jest jednak za mały, by wracać z nim do Polkowic, które stanowią dla nich najlepszą „metę”. Sprzedają książki w Rybniku Bożenie i Leszku C. Bożena bez znużenia oka płaci za książki żadaną cenę i tak o wiele niższą od oficjalnej. Jest bardzo zadowolona — ileż razy w nauczycielskiej pracy brakowało jej właśnie encyklopedii! Wielokrotnie zresztą jeszcze później Bożena i Leszek C. gościnnie będą podejmować włamywaczy i kupować przyniesione przez nich przedmioty...

Na razie szczęście, im dopisuje. A to rozchwała. Są coraz bardziej zachłani i kiedy wejdą już do mieszkania dosłownie zmiatają z niego wszystko. Nie pogardzą tabliczką czekolady, kawalkiem kielbasy, mięsa, paczką kawy. Ich uwadze nie ujdzie choćby najskromniejszy srebrny pierścionek. Zbyt mają zapewniony na wszystko. Zwłaszcza iż im jak po maśle w Polkowicach, gdzie wyjątkową wprost uczynność okazują im Alicja i Zbigniew Z. Któregoś dnia, akurat po kolejnym włamaniu w Jeleniej Górze, Marcin M. postanawia wynagrodzić tę nadzwyczajną serdeczność i ofiarowuje Alicji kryształowy wazon i burszynowe korale. Alicja Z. rozpływa się w podziękowaniach i zapewnia o swej niezmiennej gościnności.

Na przełomie roku 1986 i 87 „odwiedzają” Głogów, potem kilkakrotnie Lubin. Tutaj dołącza do nich Antoni A. — jako lepiej znający teren, a zapewne to i owo słysząc o ludzich. Szczęście dopisuje im zwłaszcza 9 stycznia, kiedy to z jednego z mieszkań kradną łup wartości 800 tysięcy, a oprócz tego wynoszą w gotówce blisko pół milio-

na. Pieniędźmi dzielą się równo. Towar wędruje do Polkowic. Potem Marcin M. i Sebastian J. jadą do Rybnika, i rozpoczynają się kolejne „akcje” na Śląsku — w samym Rybniku, Gliwicach, Jastrzębiu, Wodzisławiu.

Złodziejski proceder nabiera coraz większego rozmachu, a powodzenie przyciąga następnych chętnych. W ten sposób szajka powiększa się o 28-letniego Sławomira K., — nie pracującego nigdzie mieszkańca Bolesławca, mającego na swym koncie dwuletni pobyt w więzieniu za kradzież z włamaniem. Drugim „nabytkiem” jest 27-letnia bolesławianka — Aldona D., również notowana już przez centralny rejestr skazanych.

Od tego momentu działają z jeszcze większym impetem. Znacznie rozszerza się także pole działania. Już nie wystarcza teren zagłębia miedziowego i Górny Śląsk. Odwiedzają Wybrzeże, zwłaszcza zachodnie, nie rezygnując, oczywiście, z Dolnego i Górnego Śląska.

Grasowali wszędzie i prawdę mówiąc łatwiej byłoby wymienić miasta, których spenetrować nie zdążyli...

Od listopada do kwietnia wiedli beztroskie życie. Mieszkali w hotelach, bawili się w najlepszych lokalach. Starczyło im na wszystko i nie żalowali sobie niczego. Powoli jednak coś zaczęło zgrzytać w tym złotym interesie. Więcej najpierw Bożena i Leszek C. opowiadają o wizycie, jaką złożyła im w Rybniku milicja i bynajmniej nie był to gest kurtuazyjny, gdyż połączony z przeszukaniem mieszkania.

Później zaczęły się pierwsze aresztowania. Zatrzymywano ich w Kolobrzegu, Legnicy, Lubinie. Wreszcie, w kwietniu, ubiegłego roku, wszyscy znaleźli się pod kluczem.

Akt oskarżenia, sporządzony przez Prokuraturę Rejonową w Lubinie, na blisko stu stronach maszynopisu skrupulatnie wylicza wszelkie złodziejskie poczynania. Wyraźnie widać, że rekinami w tej szajce byli Marcin M. — który ma na koncie 33 włamania, Łukasz Ł. — 27 i tyle samo Sebastian J. Przy nich na przykład Sławomir K. z dziewięcioma włamaniem czy Aldona D. z siedmioma, to zwykle płotki... I jedni, i drudzy jednak gorątkowo umniejszają swoją rolę i swoje udziały. Podobnie zresztą postępują i paserzy, którzy ogólnie mówiąc „pojęcia nie mieli, że kupują kradzione rzeczy, a w ogóle to skorzystali z możliwości „okazyjnego” zakupu raz, może dwa...”

Ale jednak na pierwszy rzut oka zebrany w śledztwie materiał dowodowy świadczy o czymś zupełnie innym. Już niebawem będzie miał okazję przyrzec się mu z bliska Sąd Rejonowy w Lubinie.

Wydaje nam się przy okazji, że z jeszcze większą uwagą powinniśmy się wszyscy przyrzec zamkom chroniącym drzwi naszych mieszkań przed nieproszonymi gośćmi. Kto wie, ilu potencjalnych włamywaczy włóczy się jeszcze po osiedlach...

Kogo oszukali?

Osoby, które zostały oszukane przy zawieraniu „umów-zleceń” na uszczelnianie okien, wygłuszanie drzwi, montaż żaluzji, drzwi harmonijkowych, zamków zatrasków okiennych i suszarek, pochłaniaczy kuchennych itp. z akwizytorami reprezentującymi:

- „Techniczne Wyposażenie Wnętrz” — E. Bednarz, ul. 21 Października 6/7, 82-300 Elbląg;
- Zakład Usługowy Wygłuszanie Drzwi, Uszczelnianie Okien — Andrzej Sobczyk, 99-300 Kutno, ul. Łąkoszyńska 60b;
- Zakładanie Szyn Zasłonowych, Uszczelnianie Okien — Dionizy Litwińczuk, Jelenia Góra, ul. Wyczółkowskiego 61;
- Techniczne Wyposażenie Mieszkań — Eugeniusz Zalewski, ul. Paderewskiego 19/1, 81-831 Sopot;
- Techniczne Wyposażenie Wnętrz, tapicerka drzwi, montaż zatrasków — Waldemar Krefft, ul. Czerlińska 4/2, 83-460 Węglikowice, woj. gdańskie;
- Techniczne Wyposażenie Wnętrz — Jarosław Beńkowski, Gdańsk-Oliwa, ul. Obrońców Wybrzeża 4b/124;
- Aranżacja Wnętrz — Edward Janeczowski, ul. Sikorskiego 17/3, 65-458 Zielona Góra;
- Zakład Usług Mieszkaniowych — Irena Strzecha, Dzierżoniów, ul. Jasna 19a/10;
- Zakład Usługowy, wygłuszanie drzwi i montaż żaluzji — Krzysztof Mańkowski, 75-627 Koszalin, ul. Wyspińskiego 11a/14;
- Żaluzje i inne — Mirosław Cieżki, Świdnica, ul. Prądzyńskiego 69/4, tel. 261-07

są proszone o osobiste albo pisemne zgłoszenie się w Wydziale Dochodzeniowo-Sledczym WUSW w Jeleniej Górze przy ul. Armii Czerwonej 5, pok. 74 lub telefoniczny kontakt z nr 245-83 lub 20-179 w godz. 8—15.30.

chcecie to wierzyć

Gwiazdy mówią

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przyziębieniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą.

● BARAN (21.03. — 20.04.). W tym tygodniu na pierwszy plan wysuwają się sprawy zawodowe. Nie popadaj w konflikt z szefem, nie rzucaj on twojej wygranej. Musisz się bardziej zainteresować sprawami domowymi. Twój najbliższy wymaga troski.

● BYK (21.04. — 21.05.). Spadną na ciebie w tym tygodniu kłopoty. Nie poddajesz się ich przybijając bierną postawę. Musisz prokować rozwój wypadków, a nie tylko poddawać się im.

● BLIZNIĘTA (22.05. — 20.06.). Nie rozpraszaj się w tym tygodniu na drobniactwa, postaraj się o maksymalną koncentrację w tej jednej ważnej sprawie. Koziorożce stanie na twojej drodze i nie pozostanie obojętny.

● RAK (21.06. — 22.07.). Ocena osób i zdarzeń nie jest, jest bardzo subiektywna i może w poważnym stopniu zawazyć na twojej karierze. Staraj się patrzeć „chłodnym okiem” na to co się będzie wokół ciebie działo, to ci da wiele do myślenia.

● LEW (23.07. — 23.08.). Wierzysz bezkrytycznie w słuszność swoich przekonań i argumentów. Staraj się spojrzeć na tę sprawę nieco krytycznie. Rozpatrz zdanie innych, będzie to z korzyścią dla twojej sprawy. Byk jest ustosunkowany do ciebie bardzo przychylnie, może to coś wiecej.

● PANNA (24.08. — 23.09.). Powinieneś starać się sfinalizować bardzo ważną dla ciebie sprawę. Nie odkładaj niczego do jutra. Możesz przez taką postawę wiele stracić. Nie zaprzeczaj swojej wielkiej szansy. Najbliżsi poradzają ci w sprawie rodzinnej.

● WAGA (24.09. — 23.10.). Ważne będą twoje spokojne przemyślenia spraw zawodowych, ale właśnie przemyślenia — nie decyzje. Z tymi ostatnimi poczekaj do przyszłego tygodnia. Twoje uczucia do Raka mają szansę na wzajemność.

● SKORPION (24.10. — 22.11.). Tydzień upłynie ci w dobrym nastroju i dobrym samopoczuciu. Dlatego drobne kłopoty domowe nie będą problemem. Zdrowie ci dopisuje, ale pomyśl o wiosennej odnowie: porcja witamin, intensywna gimnastyka świetnie wpłyną na twoje samopoczucie i twój umysł.

● STRZELEC (23.11. — 22.12.). Sporo wydarzeń, może nawet podróz, uatrakcyjnia tydzień. Ale największym wydarzeniem stanie się poznanie kogoś, niezwykle atrakcyjnego, ale czy tylko niezwykle poważnego? Nowe wydatki uszczuplą twoją kieszę.

● KOZIOROŻEC (23.12. — 20.01.). Odkładasz ciągle ważną decyzję, nie prowadzisz to do niczego. Musisz przezwyciężyć opory i działać zdecydowanie. Załatwienie niewielkiej sprawy rodzinnej sprawi cię w dobry humor. Zdrowie ci dopisuje, wykorzystaj energię, która cię rozpiera.

● WODNIK (21.01. — 20.02.). Tydzień spokojny, a przy jego końcu ważne spotkanie i ważne rozmowy, których znaczenie poznasz dopiero po długim czasie. Pewna osoba z daleka czeka na twoją odpowiedź, nie zaniedbuj sprawy.

● RYBY (21.02. — 20.03.). Z powodów zdrowotnych będziesz nieco pobudliwy i rozdrażniony. Unikaj scysli ze swoim otoczeniem, staraj się zrelaksować w towarzystwie, które cię akceptuje i rozumie. Masz wielu oddanych przyjaciół. Sprawy finansowe idą nadspodziewanie dobrze.

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU WEWNĘTRZNEGO w Legnicy, ul. Rosenberga 9/10

ZATRUDNI:

GŁÓWNEGO SPECJALISTĘ

kierującego działem organizacji, techniki handlu i ekonomiki obrotu

WYMAGANE KWALIFIKACJE

- wykształcenie wyższe ekonomiczne, prawnicze, staż: 5 lat pracy, w tym 2 lata na stanowisku samodzielnym, lub wykształcenie średnie ekonomiczne, ogólne, staż: 8 lat pracy, w tym 2 lata na stanowisku samodzielnym.

Warunki pracy do uzgodnienia na miejscu.

Blizszych informacji udziela dział spraw osobowych i szkolenia WPHW, telefon 209-66.

287-k

REJON DRÓG PUBLICZNYCH

Złotoryja, ul. Chojnowska 8,

tel. 826 827, 600, woj. legnickie

ZATRUDNI:

INŻYNIERÓW

(preferowana specjalność — budownictwo lądowe).

Osobom zamiejscowym zakład zapewnia mieszkania.

Warunki pracy według systemu wynagradzania pracowników w jednostkach organizacyjnych dróg publicznych, podległych ministrowi komunikacji.

Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu.

286-k



PAŃSTWOWY

OSRODEK MASZYNOWY

w Lubinie, ul. Stary Lubin 16c

(kod 59-300)

ZATRUDNI

od 1 lipca 1988 r.

- SPAWACZY gazowych i elektrycznych z uprawnieniami RSA, RSb,
- TOKARZY,
- FREZEROW.

Wymienieni pracownicy zatrudnieni będą przy realizacji produkcji krajowej i eksportowej w istniejących warunkach przedsiębiorstwa. Wynagrodzenie akordowe, przy czym po przepracowaniu co najmniej dwóch lat, istnieje możliwość wyjazdu na budowy eksportowe do krajów socjalistycznych. Reflektujemy na pracowników, którzy w ostatnim miejscu pracy przepracowali nienagannie co najmniej 3 lata i podejmą zatrudnienie na mocy porozumienia stron. Oferty pisemne prosimy kierować pod adresem przedsiębiorstwa.

194-k

NADLEŚNICTWO „JAWOR”

ul. Myśluborska 3, tel. 26-35

ogłasza przetarg nieograniczony

na sprzedaż:

- samochodu osobowo-terenowego MUSCEL M-461, nr ewidencyjny 5241, nr silnika 127911E, nr podwozia 01-3941, rok produkcji 1971, stopień zużycia pojazdu 75 procent. Cena wywoławcza 238.700 zł.
- samochód dostawczy ŻUK A-11, nr ewidencyjny 5560, nr podwozia 238115, nr silnika 356830, rok produkcji 1976, stopień zużycia pojazdu 75 procent. Cena wywoławcza 379.930 zł.

Przetarg odbędzie się w siedzibie Nadleśnictwa w Jaworze, ul. Myśluborska 3 o godz. 10 w 6 dniu po ukazaniu się ogłoszenia. W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, w tym samym dniu o godz. 10 odbędzie się II przetarg. Przysięgający do przetargu winni wpłacić do kasy nadleśnictwa wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej do godz. 10 przed przetargiem. Powyższy spręt można oglądać codziennie w godz. 10-14 pod powyższym adresem. Nadleśnictwo zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

239-k

GMINNY ZESPÓŁ

EKONOMICZNO-ADMINISTRACYJNY SZKÓŁ

w Chojnowie, ul. Kościuszki 30

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na przeprowadzenie remontu kapitalnego budynku mieszkalnego w Okmianach nr 25 gm. Chojnow.

ZAKRES PRAC DO WYKONANIA:

- roboty murarsko-tynkarskie wewnątrz i na zewnątrz budynku, wymiana stolarki okiennej, drzwiowej, podłogowej, przekładka dachu, budowa zbiornika bezodpływowego na ścieki — orientacyjna wartość prac — około 7 mln zł,
- roboty malarskie — wartość około 1,5 mln zł,
- roboty instalacyjne — elektryczne, wodno-kanalizacyjne i c.o. — orientacyjna wartość 3 mln zł.

Dokumentacja projektowo-kosztorysowa do wglądu w siedzibie Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół MIG w Chojnowie, pl. Zamkowy 1. Na wykonanie wyżej wymienionych prac nie zapewniamy materiałów budowlanych. Do przetargu zapraszamy przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne. Otwarcie ofert nastąpi w 7 dniu roboczym nie licząc świąt i wolnych sobót o godz. 10 po ukazaniu się ogłoszenia w prasie. Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferenta bądź unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

288-k

Ogłoszenia drobne

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM dom z cenną produkcją plekarniczo-cukierniczą — woj. Kalisz. Wiadomość: Legnica, tel. 88679-g
SPRZEDAM dom do wykończenia i ziemię pod sad koło Lubina. Wiadomość: Lubin, Nieodległość 7/13. 88701-g
KUPIE od garsonierę do M-5 — Legnica Lubin oraz dom w zabudowie szeregowej na osiedlu Plekarz. Wiadomość: Biuro Pośrednictwa Legnica-Bielska 17/2 wtorek piątek 11-18. Dymyt. 88697-g
SPRZEDAM domek jednorodzinny w Lubaniu Śląskim. Wiadomość: Legnica, tel. 88704-g do 18.

MOTORYZACYJNE

TANIO sprzedam „Svrene”. Wiadomość: Lubin, tel. 44-50-55. 88639-g

SPRZEDAŻ

SPRZEDAM orany „YAMAHA” YC-20 oraz „CASIO” CT-65. Wiadomość: Legnica, 237-62 do 16. 88694-g
SPRZEDAM ciagnik T-25A „WŁADIMIRIEC” ZSRR. Wiadomość: Mikołajówce 5 gm. Legnickie Pole. Wicentyn Włodarek. 88697-g
SPRZEDAM kamerę 8 mm projektor i bakki. Wiadomość: Lubin, tel. 44-50-55. 88698-g
DUZY wybór kompletów wyścigowych oraz mebli swarzędzkiej gotęca sklep mebli w w. Kunicach koło Legnicy. Szmuc. 88664-g

USŁUGI

PAL-SECAM przetranszanie. tel. 21-11-41. 11361-g
USŁUGOWA Spółdzielnia Pracy „Zagłębie” — Zakład Robót Telekomunikacyjnych w Legnicy, Jaworzńska 31/35, tel. 240-21 informuje 12 w sprawie wniosków o załatwienie numerów telefonicznych należących do właścicieli terenowo Urzędów Telekomunikacyjnych. Zakład wykonu-

je roboty z zakresu montażu konserwacji i napraw telefonicznych central i sieci wewnętrznych i radiowezłach. 88680-g
WIELOWARSTWOWE krojenie tkanin. Usługi wykonujemy zakładem uspołecznionym i prywatnym. Wiadomość: Legnica, tel. 220-87. 88682-g

PRZESWIETLANIE drzew. Legnica 265-00. 88733-g

ZALUŻE okienne, wyciszanie drzwi. Wiadomość: Legnica, tel. 281-81. Urbański. 88691-g

WIDEO — filmowanie. Wiadomość: Polkowice Brzozowa 35, tel. 45-50-55. Renata Gaw- 88696-g

ZALUŻE okienne. Wiadomość: Legnica, tel. 262-71. Moździan. 88622-g

Wszystkim, którzy wzięli udział w pogrzebie

mgr. JANA
KAMIŃSKIEGO

okazali nam wiele serca i pomocy w bolesnych chwilach, serdeczne podziękowanie za okazaną pomoc i współczucie składają:

ZONA. Córka, SYN.

SYNOWA i RODZINA

28705-g

PKP ODDZIAŁ BUDYNKÓW

w Legnicy

ogłasza przetarg nieograniczony

na wykonanie następujących robót:

1. Chocianów — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
2. Chocianów — budynki mieszkalne przy ul. Kolejowej 45, Kolejowej 47, Lipowej 1 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
3. Legnica — Północ — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
4. Legnica — budynek dyżurnego ruchu, peron 4 — roboty ogólnobudowlane.
5. Legnica — peron 4 — wykonanie nowych krawężników.
6. Pawłowice — peron 1 i 2, plac ładunkowy — wykonanie nowych krawężników.
7. Prochowice — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
8. Pątnów — budynek przystanku osobowego — roboty elewacyjne.
9. Wielowieś — budynek przystanku osobowego — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
10. Rokietnica — budynek stacyjny, nastawnia nr 1, 2 i 3 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
11. Turoszów — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
12. Świeradów — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
13. Sulików — budynek stacyjny — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
14. Trzebień — budynek stacyjny i magazyn — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
15. Nowogrodzice — budynek stacyjny i magazyn — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
16. Jawor — wykonanie ogrodzenia stacji.
17. Jawor — budynek mieszkalny, ul. Kolejowa 6 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
18. Koiszków — budynek mieszkalny nr 9 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
19. Legnica — budynek mieszkalny, ul. Piastowska nr 9 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
20. Legnica — budynek mieszkalny, ul. Wiejska 1 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
21. Legnica — budynek mieszkalny, ul. Wrocławska 210 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
22. Przybyłowice — budynek mieszkalny nr 3 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
23. Raszówka — budynek mieszkalny nr 13 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
24. Luban Śląski — budynki mieszkalne, ul. Warszawska nr 3, 4, 5, 5a — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
25. Luban Śląski — budynek mieszkalny, ul. Fortowa 1 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
26. Węgliniec — budynek mieszkalny, ul. Zła Droga 2 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
27. Węgliniec — budynek mieszkalny, ul. Kochanowskiego 19 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
28. Węgliniec — budynek, ul. Zymierskiego 33 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
29. Węgliniec — budynek mieszkalny, ul. Kochanowskiego 6 — roboty dekarsko-błacharskie i elewacyjne.
30. Olszyna Lubaniska — budynek gospodarczy przy ul. 1 Maja nr 6 — roboty ogólnobudowlane.
31. Roboty ziemskie na terenie oddziału budynków.
32. Roboty sludniarskie na terenie oddziału budynków.

Do przetargu zapraszamy przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze oraz prywatne wykonawców.

Otwarcie nastąpi 7 dnia roboczego od ogłoszenia w prasie, o godzinie 10 w siedzibie Oddziału Budynków w Legnicy przy ul. Marchlewskiego nr 8.

Termin składania ofert upływa w dniu poprzedzającym ich otwarcie. Inwestor zastrzega sobie prawo wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

285-k

O szaleciach raz jeszcze

Otrzymał list. Oto jest treść:

„Niniejszym wyjaśniam, że w ukazanej notatce w „Konkretych” nr 4 z dnia 20.01.1988 r. pod tytułem „Gdzie szaleci” błędnie poinformowano społeczeństwo, że na terenie miasta czynny jest tylko jeden szalec przy pl. A Zawadzkiego. Błąd polega na tym, iż aktualnie poza placem A Zawadzkiego czynne są szalecy przy pl. Czarneckiego we wszystkich dni tygodnia od godz. 10 do 18 przy ul. Szkolnej w dni robocze od godz. 10 do 18, przy ul. Młostowskiej w dni robocze od godz. 10 do 18. Natomiast szalec przy ul. Chojnowskiej aktualnie jest remontowany — do eksploatacji zostanie oddany w końcu marca br.

W świetle powyższego mimo trudności w zatrudnieniu pracowników na stanowiskach szaleciaków nie skorzystamy z propozycji zamknięcia w/w szaleców. Pod listem widnieje podpis zastępcy dyrektora ds. eksploatacji PGK w Legnicy Alfreda Jareckiego.

Próbującmy z pełnym pędem odwiedzić szalec przy ul. Czarneckiego (obok Wroclawskiej). Na drzewach wisiały kłódki a zrybu były powbijane szalecy przy ul. Szkolnej czuście jest zamknięty niż otwarty. Szalec przy ul. Chojnowskiej remontowany jest już tak długo, że remont ten można by wpisać do naszej księgi rekordów. Wzruszmy to wszystko pod uwagę a także fakt, że przed trzydziestu laty liczba szaleców była taka sama (a ludzi o połowę mniej), zdecydowanie się podziękować naszemu przewidywaniu. Spodziewamy się że wkrótce z PGK otrzymamy także odpowiedź na inne nasze krytyczne publikacje na przykład na te z numeru 3 („Nasze patronaty”), dotyczącą starej instalacji osłabienia prądu przy ul. Kocimierz.

P.S. Na szalecie są jeszcze wolne drzewka w legnickim parku.



Prezeska Legnickiego Klubu Naturysty — Irmina Marczevska wkłada koronę najpiękniejszej Krystynie Dobij — ekspedientce z legnickiego sklepu patronackiego „Hanki”.
Fot. Tadeusz Musialik

dziewczyna firmowa



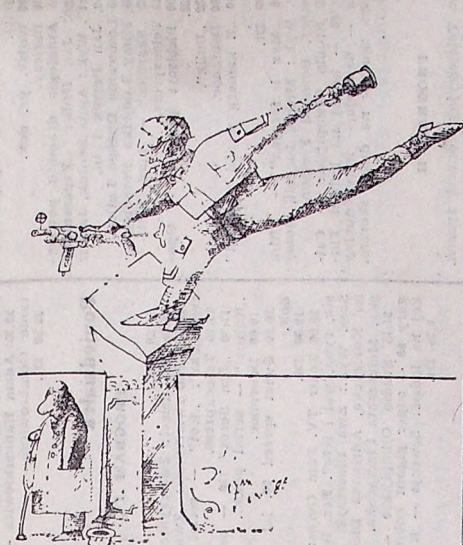
Fot. Janusz Budnicki

Lucyna Kaczkowska — pracownik socjalny w legnickim Teatrze Dramatycznym.

Udał się bal

Wbrew zabiegom zaciekle wrogów bal legnickich naturystów odbył się 6 bm. w gościnnym Domu Przyjaźni. Zabawa przy dyskotekowych nagraniach trwała do białego rana. Kilkadzieści par może uznać imprezę za udaną. Były gry, turnieje i wybór najpiękniejszej. Zawiedzeni byli tylko podglądacze, którzy kręcili się po klubie od rana, niestety, golizny nie było. W podobnej oprawie przebiegał wtorkowy (16 bm.) „śledzik”, także w Domu Przyjaźni. Było spokojnie, wesoło i nie goło...

galeria Satyrykonu



Stojan Dukor (Bulgaria)

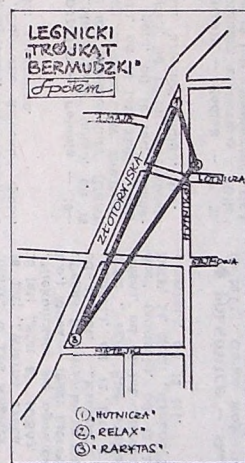
Legnicki przewodnik gastronomiczny (2)

● TIVOLI (restauracja kat. III, prywatny, ul. Złotyryjska). To chyba już ostatnie miejsce w Legnicy, gdzie od dwudziestu lat z hakiem nie się nie zmieniło. To samo radio, ta sama lodówka, łada barowa, krzesła, stoliki i ten sam — najlepszy w Europie środkowej — chrzan (wraz z pasztecem z drobiu — 106 złotych). Od lat nie zmienia się oferta dań obiadowych. Na szczęście nie zmieniła się także ich jakość. Ceny bardzo, jak na dzisiejsze czasy, umiarkowane. Kotletki poarskie, na przykład, kosztują — wraz z dodatkami — 25 zł. To o wiele taniej niż gdzie indziej.

● TURYSTYCZNY (bar, PSS „Spolem” — agencja, dworzec PKS). Wydawało się nam, że już nic nas zaskoczy nie może. A tu zostaliśmy zaskoczeni ceną zupy pomidorowej z ryżem — aż 78 zł. Ponadto mrożonki tego się właśnie spodziewaliśmy. I ciemne piwo

● UNIWEERSALNY (bar-smażalnia kat. IV, prywatny, ul. Marchlewskiego). Obok banalnych frytek (100 g — 35 zł), kureczka z rożna (1600 zł/kg), czy smażonego

morszczuka (100 g — 68 zł) jest też nie spotykana gdzie indziej wątróbka z drobiu (100 g — 92 zł). Zup nie ma — trudno — czysty barszcz czerwony (300 g — 27 zł) uważać za zupę. Wspomniane frytki idą jak woda — kuchnia ledwie nadąży z ich smażeniem.



25 zł bez reszty

Skutecznie walczy z inflacją Urząd Telekomunikacji w Głogowie. Przekonał się o tym Jan Boniek, który 25 stycznia br. próbował skorzystać z telefonu kolejno w trzech budkach telefonicznych przy Dworcu PKP oraz z automatów na dworcu i na poczcie. Po pięciu nieudanych próbach stracił 25 zł, sporo nerwów i resztę uznania dla trudnej, niewdzięcznej i ofiarnej pracy łącznościowców.

Z zagranicy

SWIDNICA (inf. wł.) Budujące jest zaopatrzenie tamtejszych sklepów. Bez stania w kolejce udało nam się nabyć gaz do zapalniczek (w sklepie ze szkłem i porcelaną) i papier toaletowy (w sklepie „1001 drobiazgów”) — sprzedawano go workami (cena jednej rolki — 40 zł). Co na to handlowcy w naszym województwie?

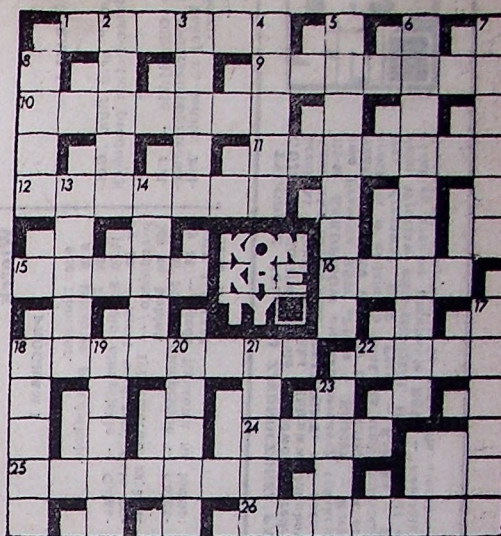
Legnicki Guinness

100 minut jechał po ciągnięciu z Legnicy (odjazd 21.43) do Chojnowa 15 bm. Jerzy P. Niestety, panie Jurku nie jest to wynik rekordowy. Znamy lepsze na znacznie krótszych trasach. Wpiszemy pana do księgi jeśli spełni się pańska deklaracja, że dystans Legnica — Chojnowa pokona pan w godzinę na nartach. Czekamy zatem na śnieg i informację o rekordzie.

Z poczty do „MF”

Cieszy nas dobry gust czytelników nadsyłających zdjęcia swych dziewczyn, żon, córek, wnuczek, sióstr, cioci, synów, teściów, bratów, szwagierów itd., itp. jako kandydatek na „Dziewczynę firmową”. Wszystkie są tego warte. Autorów przesyłek prosimy jednak o najszybszy kontakt z redakcją „MF” (tel. 299-25) ponieważ nadsyłane fotografie nie spełniają wymogów technicznych. Aby wasze kandydatki mogły trafić do „MF” zdjęcia muszą być wykonane przez naszego fotoreportera. Czekamy także nieustannie na nowe zgłoszenia.

Krzyżówka



POZIOMO: 1) syn Zeusa i Latony, 9) przed tobą, 10) awantura, 11) małż morski, 12) maluch zza miedzy, 15) miłośćka, 16) fason, 18) ukońnica, 22) lew z kluczami, 24) epopeja, 25) kompozycja wnętrza, 26) berło.

PIONOWO: 2) maszyna drukarska, 3) świętuje 27 marca, 4) start w podróż lotniczą, 5) tabletki, 6) nieodmienna część mowy, 7) szychta, 8) kłuje, 13) rulon, 14) z antenką, 17) rzecz, 18) knowania, 19) kraina słowacko-polska, 20) moda na starocie, 21) szpaier, 23) łajdak.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 5. Poziomo: baobab, arteria, rewizor, koncert, Janerka, zbieg, elew, czytanka, okno, echo, realizm, linotyp. Pionowo: akwen, bazar, barka, stangret, przepierka, parter, kraj, arbuz, efekt, postęp, czart, Ystad, armia, Kreml, chan.

NAGRODY KSIĄŻKOWE WYLOSOWALI: PIOTR KARAS, ul. Ułańska 8 m. 3, 64-100 Leszno; EWA MERTA, ul. 1 Maja 38 m. 2, 58-530 Kowary; ROBERT DYMACEZ, 63-644 Świba 68

Na rozwiązania krzyżówki z numeru 7 czekamy do 27 lutego br.

podsluchane

(na głogowskiej ulicy)

— Tatusiu, po czym poznać prawdziwego dżentelmena?

— Widzisz synku, dżentelmen to taki człowiek, który potrafi opisać Samantha Fox lub Sabrinę nie poruszając rękoma.